



Dwoma palcami ostrożnie wyciąga ostrze. Centymetr po centymetrze, powoli. Na pomoście już ucichły kroki. Głowa znów mu opada. Wbija

ostrze w przedramię Vuketica. Pułkownik nie wydaje

CZYTELNIK



krzyku. Pistolet

László

Gyurkó

wypada mu z dłoni. Jovan Kiss zadaje drugi cios w serce.

W cieniu śmierci

László Gyurkó

W cieniu śmierci

przełożył
Tadeusz Olszański

CZYTELNIK
WARSZAWA 1987

Jovan Kiss nie urodził się zbrodniarzem,
a jednak przemienił się w szatana.

Jovan Kiss dobrze wie, czym jest cień śmierci. Zna ten mroczny cień doskonale. A przecież Jovan Kiss uwielbia blask słońca. I nie znosi cienia.

— Jovan — odzywa się Diabeł. — Do ciebie mówię.

Diabeł ma ostro zakończoną brodę, spiczastą. I nos, i palce tak samo drapieżne. Nawet oczy kołają.

Jovan Kiss uśmiecha się, szczerzy do Diabła zęby.

— Mój ty kumplu — mówi Diabeł. — Druhu serdeczny...

To już nie uśmiech, to szczerzenie kłów. Nie bez przyczyny przyjaciele nazwali kiedyś Jovana Kissa Wilczurem.

Jovan Kiss uderza prawą ręką, błyskawicznie, nagle. Ostrze noża trafia czarta w sam dołek żołądka.

Ostry brzęk, jakby ktoś kamieniem rzucił w szybę wystawową. Jovan Kiss budzi się. Nie podnosi się jednak z łóżka, nawet nie drgnie. Patrzy w półmrok, nadśluchuje. Całe ciało mokre od potu.

Zapala lampkę do czytania. Zegar pokładowy wskazuje pół do czwartej. Na dworze już świta. Wieje wiatr. Fale cicho uderzają w dziób jachtu. Jest czerwcową noc.

Jovan Kiss zapala papierosa. Gasi światło. Cisza, szarówka. W ustach czuje gorzki posmak papierosa. Rozgniała niedopałek i odwraca się do ściany. Naciąga po szyję puszysty koc.

Śpi już bez snów do rana. O siódmej budzi go sygnał nastawionego na tę godzinę zegarka. Przez szparę w zasłonie świeci słońce. Jovan jest jeszcze ciągle oszołomiony. Działają

silne środki nasenne. Jak co ranka zresztą.

O godzinie dziesiątej łódź Jovana Kissa dopływa do granicy Jugosławii z Węgrami. Słońce już w zenicie. Dunaj płynie tu wartkim prądem.

Sto metrów od przystani straży granicznej Jovan Kiss opuszcza drążek gazu. Prujący wysoko wodę dziób „Jastrzębia” łagodnie opada. Kiss ma na sobie wytarte farmery, trykotową koszulkę w niebieskie pasy, tenisówki.

Gdy biały kadłub motorówki osiąga wysokość pomostu przystani, Kiss całkiem redukuje gaz, a kierownicę skręca w prawo.

Prąd rzeki wyhamowuje łódź. Dziób dobija do pontonów pomostu.

Dyżurny strażnik graniczny już na niego czeka. Przez lornetkę obserwował zbliżającą się motorówkę. Z dużej odległości rozpoznał, że to „Jastrząb”.

— Ahoj, kapitanie! — wita gościa kapral Bulatović. Lornetkę i pistolet maszynowy zostawia na białej ławce.

Bulatović chwyta za okucie dziobu, Jovan Kiss podaje cumę. Kapral zarzuca ją na pachołek pomostu.

— Ahoj! — odpowiada Jovan Kiss. Wraca do stanowiska sterowego i przekręca kluczyk. Milkną oba pracujące na jałowym biegu silniki Volvo. Cisza. Tylko Dunaj szmerze. Prąd rzeki załamuje się na pontonowym pomoście.

— Dawno już tu pana nie było.

— I gdzie indziej nie brak wody — uśmiecha się Jovan Kiss.

Ogorzała od wiatru i słońca twarz, gęste, czarne włosy. Nieprawdopodobnie niebieskie oczy. Jakby z porcelany. Te jasnoniebieskie, porcelanowe oczy czynią tę twarz niezwykłą.

Jovan Kiss ma sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, waży osiemdziesiąt siedem kilogramów. W każdym szczególe jest niezwykle proporcjonalny. Nikt by nie powiedział, że skończył pięćdziesiąt jeden lat.

— To prawda — odpowiada Bulatović. — I gdzie indziej jest woda. Ale nie taka jak tu.

Kapral urodził się w jednej z pobliskich wsi. Nad

Dunajem. Jest wodniakiem, jak ojciec, dziad i pół wsi. Zawraca głowy dziewczynom w okolicznych nadrzecznych gospodach gadaniem, że zostanie przeniesiony do marynarki. Potem złoży egzamin do szkoły oficerskiej. Śnieżnobiały mundur ze złotym szamerunkiem. Bulatović pierwszym oficerem na kapitańskim mostku, w największym wicherze na posterunku. W tawernach portów Lewantu, w objęciach cyncatych piękności.

Bulatović doskonale wie, że pójdzie na emeryturę jako najzwyczajniejszy sternik barki. I wcale nie rozpacza. Kocha Dunaj. Będzie miał dom, żonę, dwoje dzieci. Chłopca i dziewczynkę. Chłopca wychowa na marynarza.

Kapral jest silny, muskularny. Bluza pręży mu się na ramionach. Przy Jovanie Kissu wygląda jednak jak szczeniak.

— Na urlop? — pyta Bulatović.

— Zgadza się.

Jovan Kiss częstuje kaprala marlborami. Ten szuka w kieszeni zapalek. Kiss podaje ogień z zapalniczki. Jest cisza, płomień nawet nie drgnie. Brunatno- bure fale chlupoczą pod deskami pontonowego pomostu. Słońce silnie grzeje.

— Niech pan to schowa — Kiss podaje kapralowi całe pudełko.

— Ale skądże — broni się Bulatović.

— I ja byłem żołnierzem. Też byłem hardy. Może pan mi wierzyć.

Bulatović lubi ten ton.

— Dziękuję. Zaraz dam znać towarzyszowi kapitanowi.

Ale to już zbędne. Kapitan Trokan kuśtyka w dół, ze strażnicy na pomost. Strażnica jest piętrowa. Zbudowana z czerwonej cegły. Kapitan Trokan lekko kuleje, bo w 1943 roku seria z pistoletu maszynowego w czterech miejscach rozstrzaskała mu lewe podudzie. Wysadzał ze swym oddziałem most kolejowy. Wdał się w wymianę ognia z osłoną mostu. Profesorowi Bergowi zawdzięcza, że mu nie ucieli nogi.

Milovan Berg przed wojną więcej przebywał za granicą niż w swojej ekskluzywnej prywatnej lecznicy w Belgradzie.

Od Nowego Jorku do Tokio dość bowiem było milionerów, którzy mogli sobie pozwolić na ściąganie specjalnym samolotem jednego z najlepszych na świecie ortopedów.

W 1943 roku profesor Berg pracował w tym lazarecie, do którego towarzysze zanieśli sierżanta Trokana. W 1944 roku profesor Berg zginął w trakcie zabiegu — właśnie operował — od kul z ciężkiej broni pokładowej bombowego myśliwca Messerschmidta, który ostrzelał namioty z czerwonym krzyżem.

— Ahoj, Jovan! — kapitan ściska dłoń Kissa.

Jovan Kiss uśmiecha się serdecznie. Jego porcelanowo niebieskie oczy pozostają jednak zimne.

— Wejdziecie? — wskazuje na kabinę.

— Jestem na służbie — mówi Bulatović.

Jovan Kiss sztywnieje. Czuje niebezpieczeństwo.

Jego spojrzenie staje się nagle ostrzejsze, słuch czujniejszy. Każdy ruch precyzyjny.

Dostrzegł, że kapitan dał wzrokiem znak kapralowi. I wie, że poprzednio obaj nie podchodzili nigdy tak rygorystycznie do swoich obowiązków.

Jovan Kiss rozluźnia mięśnie.

Zawiedziony Bulatović wraca po swój pistolet maszynowy. Do wszystkich diabłów odsyła dwóch obcych ludzi, którzy czujnie ich obserwują ze strażnicy. Z przyjemnością wypiłby bowiem w kajucie szklaneczkę whisky z lodem.

Jovan Kiss wyjmuje z kuchennej szafki dwie wysokie szklanki z grubym dnem. Z lodówki bierze butelkę białego kubańskiego rumu. Dolewa do szklanek pomarańczowego soku. I po dziesięć kropel z ośmiokątnej, małej butelki z ciemnozielonego szkła. Na tej butelce nie ma etykiety.

Wkłada do szklanek małe kostki lodu oraz kolorowe łyżeczki o długim trzonku. Lodówka zasilana jest z akumulatorów łodzi.

Napój jest cierpkawy, nieco szczypiący. Kapitan Trokan jeszcze nie pił czegoś podobnego.

— Go to jest? — pyta z uznaniem.

— Tajemnica służbowa. Jeśli chcesz, możesz to nazwać coctaiłem Kissa. Twoje zdrowie!

Jovan Kiss z napięciem czeka na słowa swego gościa. Nie daje tego jednak po sobie poznać. Twarz obojętna. Porcelanowoniebieskie oczy ani drgną.

Już dwa pierwsze łyki przyjemnie oszałamiają kapitana Trokana. Wypija napój do dna. W ogromnym upale smakuje ten lodowaty napój o dziwnym aromacie.

Trokan ceni dobre trunki na równi z troskliwie pielęgnowaną bronią. A także z fachowo urządzoną łodzią.

Na podłodze kajuty „Jastrzębia” jaskrawozielony, miękki dywan. Na suficie identycznego koloru tapeta. W okienkach ciemnozielone zasłony. Meble z czerwonego mahoniu. W kajucie ani śladu sztucznego tworzywa, z którego sporządzony jest kadłub łodzi. Kiss jest dumny z tego wnętrza. Sam je zaprojektował. I wykonał wspólnie z pewnym cieślą okrętowym z Nowego Sadu.

— Na urlop? — pyta kapitan Trokan. Od dziwnego coctailu przyjemnie zdrętwiały mu wargi.

Kiss czujnie wsłuchuje się w ton głosu kapitana.

— Tak. Mały, wakacyjny wypad.

Przygotowuje nową porcję coctailu. Uśmiechem kwituje gest kapitana, który grzecznościowo broni się przed drugą szklanką.

— Dokąd?

Głos kapitana jest obojętny. Pytanie również.

— Na Węgry. Potem może do Austrii. Ewentualnie do Linzu.

Kapitan Trokan zdaje sobie sprawę, że z Budapesztu do Linzu „Jastrzębiem” tylko jeden skok. Sześćset kilometrów. Pół dnia, ulgowo.

— Zobaczymy, jak się ułoży. No i jak ryby będą brały.

Wszyscy, którzy znają Jovana Kissa wiedzą, że jest on namiętym wędkarzem. I że wcale nie ma szczęścia.

Dobrze mu się wie, myśli kapitan. Budapeszt, Linz, kiedy mu tylko ochota przyjdzie.

Ale Trokan nie czuje zazdrości.

Po pierwsze lubi Kissa, a po drugie Jovan zasłużył sobie, żeby mu się dobrze wiodło.

Trokan decyduje się.

— Jovan, wczoraj przyszedł rozkaz. Przez trzy dni mamy jak najdokładniej przeszukiwać każdą łódź.

Oczy Jovana Kissa są błękitne niczym niebo. I nieruchome.

— Przysłali dwóch chłopców z Belgradu. Specjalistów.

Niebezpieczeństwo jest żywiołem Jovana Kissa. Marzy o nim, tęskni jak narkoman za morfiną.

Wyczuwa więc teraz niebezpieczeństwo.

— Cholera wie, czego szukają...

Kapitan Trokan rzeczywiście nie wie, co kryje się za rozkazem z Belgradu. Kiss wierzy mu. Niebezpieczeństwo działa na niego rozluźniająco.

— Może szukają narkotyków. Gazety ostatnio ciągle o tym piszą — mówi Trokan.

Albo chodzi im o mnie, myśli Jovan Kiss. To nie najgorsza metoda, żeby przeszukać jego jacht.

Nie sięga po szklankę ani po papierosa. Każdym gestem mógłby zdradzić zdenerwowanie. Wie o tym. Nauczył się w swoim zawodzie.

Trokan pewnie by tego nie zauważył. Jest żołnierzem. I nie podejrzewa Kissa. Ale Jovan Kiss nie może sobie pozwolić na najmniejszą nieostrożność. Żadnego luzu. Nigdy. Bez względu na okoliczności.

Ma to we krwi. I dlatego właśnie żyje.

Żyje. bo ma także szczęście. Uśmiecha się w duchu.

— Jednego nie rozumiem, dlaczego akurat przez te trzy dni — mówi Trokan. — Może dostali jakiś cynk.

Jovan Kiss już zastanowił się: kto mógł wiedzieć, że właśnie w tym dniu przekroczyć granicę?

Wielu. Nie robił z tego żadnej tajemnicy.

Kapitan drapie się po karku.

— Mógłbyś wrócić pojutrze. Jeśli się nie śpieszysz. Wytłumaczę chłopcom, że tylko wpadłeś do nas w odwiedziny. Wiedzą, że jesteś moim dobrym znajomym.

Kapitan Trokan ujawnił służbową tajemnicę. Ale nie czuje się zobowiązany do zachowania tej tajemnicy przed Jovanem Kisse. W końcu Jovan Kiss to Jovan Kiss.

Powiedział to zresztą dwóm kolegom ze stolicy.

Jovan Kiss dopiero teraz zapala papierosa. Spokojnie, powoli.

— Nie ma sprawy, mogą przeszukać moją łódź.

— Oczywiście. Tylko oni są okrutnie drobiazgowi. Wczoraj przez trzy godziny rewidowali małą łajbę. Jedyne silnika nie rozebrali. Nie sądzę, żebyś miał ochotę spędzić tu pół dnia.

Kiss wie, że zawsze można znaleźć to, czego się szuka. Trzeba tylko wiedzy i cierpliwości. No i czasu. I talentu również.

Jest w dobrym humorze.

— Twoje zdrowie.

Stuka się swoją szklanką z kapitanem. Łód już zdążył stopnieć.

— Ja mam czas. A im za to płacą.

Pije swój trunek jednym tchem.

— Przynajmniej będziemy mieli czas trochę porozmawiać. Trokan cieszy się. Szanuje Kissa. A służba jest nudna.

— Pod warunkiem, że zaprosisz mnie na kawę.

Obaj wywiadowcy są młodymi ludźmi. Jeden z nich jest wysoki i chudy jak tyka. Siedzą w gabinecie kapitana.

— Łódź jest do waszej dyspozycji, panowie — mówi Kiss.

— Ja zostanę tu u towarzysza kapitana i zaczekam, aż skończycie.

Nie daje im dojść do słowa.

— Gdybyście czegoś potrzebowali, dajcie znać, pomogę.

Mówi, jakby byli jego podkomendnymi. Przynajmniej tak ich traktuje.

Chudy jak tyka sięga po leżącą na stole teczkę z czarnego tworzywa.

Czujnik pomiarowy, konstatuje w duchu Kiss.

Drugi wywiadowca bierze torbę z narzędziami.

Kiss jest ciekawy, czy wywiadowcy wiedzą, czego lub kogo szukają?

Nie wiedzą. Wiedzą tylko jedno — dostali polecenie, żeby dokładnie przeszukać każdą łódź. Szczegółowo. I żeby nie

szukać proszku do prania.

Jovan Kiss też dobrze wie, że oni nie szukają proszku do prania. Po to nie przysłała się z Belgradu dwóch specjalistów.

Wie również, że na pokładzie „Jastrzębia” nie ma ani złota, ani waluty, ani narkotyków. Broni również.

Przynajmniej takiej, jakiej oni szukają.

— To było w grudniu czterdziestego trzeciego roku. A może w styczniu czterdziestego czwartego? Cholera to wie. Było okropnie zimno. Smarki przymarzały człowiekowi do twarzy.

— Wzywa mnie dowódca. Chłopi donieśli, że czterech obcych ludzi włóczy się po okolicy. Opowiadają, że uciekli od Niemców. I że szukają partyzantów. Nie mają nic ze sobą oprócz plecaków.

Taras strażnicy granicznej wychodzi na Dunaj. Naprzeciw zieleń łągów. Pod nimi przystań wioślarska. Na murze z czerwonej cegły szerokie na palec pęknięcie. Silniki holowników o mocy tysiąca koni bez przerwy powodują drganie nasypu.

Piją już drugą kawę. Przyrządza ją starsza kobieta. Po turecku. w filiżankach. Kapitan Trokan urodził się w dolinie Neretwy.

Obaj wywiadowcy pracują na „Jastrzębiu” już czwartą godziną.

Solidna robota, myśli Jovan Kiss.

Ciągnie swą opowieść.

— Na drugi dzień natknęliśmy się na ich ślad. Poprzedniej nocy spadł świeży śnieg. Wszyscy czterej nosili buty na grubej, nacinanej gumowej podeszwie.

— Nigdy jeszcze nie widziałem takich śladów. Uciekli od Niemców? W takich przyzwoitych butach?

— Mogli je gdzieś zdobyć. Ale wszyscy czterej?

— Ustawiłem chłopców w tyralierę. Co dwieście metrów. Rozkaz: jak najszybciej. I jak najciszej.

— Pod żadnym pozorem nie strzelać. Mogą to być

rzeczywiście nasi. A jeśli nie nasi, to też nie wolno strzelać. Nie potrzebujemy trupów Już dość pogrzebaliśmy ich w tym przeklętym lesie. Naszych i Fryców Potrzebujemy żywych, takich, którzy mówią. A wiadomo, martwi milczą.

Jovan Kiss wygodnie rozpięra się w fotelu. Chętnie snuje wspomnienia. Kapitan Trokan rozprostowuje cierpnącą szybko nogę. Dziś już rzadko spotyka się człowieka, z którym można rozmawiać o tamtych czasach. O swojej młodości. To było jego życie. Teraz już wie, że wtedy był szczęśliwy. Wówczas jednak tego nie wiedział. Czuł tylko, że marzenie i jest głodny. i wiedział, że muszą zwyciężyć.

Lubi i szanuje Jovana Kissa.

— Zobaczyłem ich przez lornetkę. Szli gęsiego. Pięknie, rozważnie. Jak na szkolnej wycieczce.

— Byli obdarci. Tylko buty mieli nowe.

— W podartym ubraniu można przejść i sto kilometrów. Jeśli buty są dobre. I jeśli się ma pełny plecak.

— Nie wiedziałem, co mają w plecakach.

— Weszli do Wiązowej Doliny. Zakrakałem. Dwa razy, a potem cztery, taki był sygnał. Jeden z nich obejrzał się. Szli spokojnie dalej. Dużo było wron w tamtej okolicy.

— Wiązowa Dolina ciągnęła się przez sześć kilometrów. Po obu stronach strome skały. Wzdłuż jednej grani wąska ścieżka. Tylko ten ją znał, kto był tu już przedtem.

— Posłałem tą ścieżką pięciu ludzi, żeby zamknęli wyjście z doliny. Ja z Milodarem szedłem dołem za nimi. Była to dziecinna zabawa. Po bokach rósł młody chojnik. Idealne ubezpieczenie.

Kapitan Trokan znów czuje się miody. Zdaje sobie sprawę, że miał piękne życie.

— Byli przed nami o jakieś czterysta metrów, kiedy doszli do wylotu doliny. Wtedy mój kapral wyszedł na ścieżkę. Zapomniałem już, jak się biedak nazywał. Zapytał, kim są.

— W rękę trzymał automat. Odbezpieczony. Pepeszę z bębniem jak moja.

— Miałem kiedyś thompsona — mówi Trokan. — Niezwykle mądra zabawka. Tyle że bardzo delikatna.

— Widziałem, jak jeden z nich otwiera ramiona. Podbiega do kaprała i obejmuje go. Woła do niego: Bracie, bracie! A jego towarzysze z gęsiego rozbiegają się w tyralierę. Jak wachlarz. Bez rozkazu.

— Już wtedy zorientowałem się, że będą kłopoty. Zaczęliśmy biec z Milodarem. Mogliśmy sobie na to pozwolić. Nie na nas zwracali uwagę.

— Chłopcy wyszli z za drzew. Wszyscy naraz, niech to szlag trafi. No, oczywiście, „bracie, bracie” — to skutkowało!

— To byli partyzanci, biedacy, a nie zwiadowcy. Każdy z pistoletem maszynowym.

Jovan Kiss spogląda w dół na „Jastrzębia”. Obaj wywiadowcy ciągle jeszcze pracują.

— Kaprał wysuwał się już z objęcia. Upadł na śnieg.

— Prosto w serce wsadził mu nóż ten brat. W rękach dwóch pozostałych pistolety. Czwarty gorączkowo rozsypuje plecak.

Tak, zgadza się, myśli Trokan. Na tym polegało wtedy ich życie.

I słońce wówczas inaczej świeciło.

— Dwóch moich ludzi pada od pierwszych strzałów. Nie zdążyli nawet połapać się w tym, co się dzieje. Pozostałych dwóch rzuca się na szczęście na ziemię.

— Jedna seria z pepeszy kończy z tym, który zakłuł kaprała. Druga seria do jego towarzysza z lewej. Gdy padli obaj, ujrzałem podeszwy ich butów. Z grubej, nacinanej gumy.

— Ale z plecaka już wyjęty został pistolet maszynowy. Mały, czarny, z podłużnym magazynkiem.

— Przestrzeliłem mu lewą nogę. Tuż nad kolaniem Upadł, ale dalej strzelał.

— To nie debiutant, pomyślałem.

— Znów o jednego z moich mniej. Podskoczył i rozłożył ręce. Jak na filmie.

— Milodar przestrzelił nogę czwartemu. Jednocześnie ten sam facet oberwał serię na wprost, w czoło. Złożył głowę na śniegu.

— Pozostał już tylko jeden. Ten z pistoletem maszynowym, ranny w nogę. Pruł już w naszą stronę, krótkimi seriami. Najchętniej wlaźłbym w tym momencie pod ziemię.

— Nie miał jednak szczęścia. Śnieg wokół nas tylko się kurzył. Jedną z serii ściał gałąź sosny tuż nade mną. Spadła mi na głowę.

— Potem rozległ się suchy szczęk zamka. Na to tylko czekałem. Już pędziłem w jego kierunku. Milodar za mną.

— A wtedy w jego ręku znalazł się pistolet. Dużego kalibru waiter. Ciężka, cholerna broń.

— Uskoczyłem ile sił, żeby mnie nie trafił.

— Nie do mnie strzelał. Włożył lufę waltera w usta. Kiedy do niego dotarliśmy, nie miał już głowy.

Trokanowi już nie cierpnie noga.

Jovan Kiss spogląda w dół na przystań. Oczy ma przejrzyście niebieskie. Jakby był nieżywy.

— Osiągnąłem piękny wynik. U mnie czterech zabitych. U nich: wszyscy.

— Możesz sobie wyobrazić, jak mi się potem oberwało od dowódcy. Przy tamtych nie znaleźliśmy żadnego papierka. Nic, co mogłoby naprowadzić na jakiś ślad.

— Jeśli chcieliście mieć żywych, to trzeba było mi dać zwiadowców, a nie partyzantów, powiedziałem do dowódcy. Bił się pięściami po głowie. Deptał rzuconą na ziemię czapkę. A skąd, do cholery, miałem ich wziąć, ryczał. Bodaj by cię pan Bóg posłał do francowatego diabła. Dlaczego nie uważałeś na swoich ludzi? Spółkuj ze starą kurwą, ciotką twojej matki, jeśli już swoich ludzi nie potrafisz upilnować. Pierdol się z tym, który cię spłodził. Straszliwie umiał przeklinać.

— Lubił tych chłopców, którzy wyciągnęli wtedy kopyta. Cała czwórka walczyła przy nim już drugi rok.

Dwóch wywiadowców wraca z pomostu na górę, do strażnicy. Wysoki niesie torbę z narzędziami.

Jovan Kiss uśmiecha się.

Widzi, że obaj mają mokre od potu koszule.

Jest bardzo gorąco.

— A skąd on miał wziąć zwiadowców? — mówi Kiss do Trokana. — Bardzo mało nas było wtedy.

— Przepraszam, że zatrzymaliśmy pana tak długo — mówi chudy jak tyka wywiadowca. Białą chustką z niebieskim obramowaniem wyciera pot z twarzy.

— Spełniliście swój obowiązek — usprawiedliwia ich Trokan.

Jovan Kiss chciałby wiedzieć, czy po jego odpłynięciu będą telefonować do Belgradu.

Spogląda w dół na pontonowy pomost. Kapral Bulatović siedzi na białej ławce. Na szyi przewieszona lornetka.

— Oczywiście, to był ich obowiązek — potwierdza Kiss.

Dla Jovana Kissa śmierć jest równie oczywista jak życie.

Zmierzchało już, kiedy dotarł do Budapesztu. Obiad zjadł w Baja. Dwie porcje zupy rybackiej, z makaronem. Lubił rybę.

Prześliznął się pod mostami. Kocha to miasto. Wiedeń jest bardziej zadbane. Elegancki. Budapeszt jest natomiast jak piękna kobieta, której nie zależy na dostosowaniu się do najnowszej mody. I na tym polega urok tego miasta.

Tylko Belgrad kocha bardziej. Bo Belgrad jest jego domem.

Mija Wyspę Małgorzaty. Przy Rzymskim Nadbrzeżu, przed przystanią „Przyjaźń”, trzykrotnie naciska melodyjny sygnał „Jastrzębia”. Sygnał oparty jest na kilku taktach wielkiej arii z „Carmen” Bizeta.

Gdy dobija do pomostu, gospodarz przystani wraz z żoną czekają już na brzegu. Przystań „Przyjaźń” jest miejscem kotwiczenia zagranicznych jachtów w Budapeszcie.

— Wreszcie dawny znajomy i miły gość — mówi gospodarz.

Stukilogramowy gospodarz wygląda przy Jovanie Kissu niczym karzełek. Ma astmę, oddycha ze świstem. Jego żona waży dziewięćdziesiąt kilogramów. Włosy farbuje na czarno, paznokcie na czerwono.

— Zły pieniądz zawsze wraca — uśmiecha się Kiss

Jovan Kiss urodził się w Nowym Sadzie. Jego ojciec był

Węgrem, matka Chorwatką, bracia cioteczni Niemcami. Mówi biegle trzema językami.

Dla gospodarza przywiózł gąsiorek domowej śliwowicy. Dla jego żony perfumy w ozdobnym flakonie. Dla dwojga dzieci olbrzymie pudło czekoladek.

Drobne prezenty zawsze się opłacą. Jovan Kiss dobrze o tym wie.

— Przepisy nie zmieniły się? — pyta.

Kiss co roku odwiedza Budapeszt.

— U nas wszystko po staremu — mówi gospodarz przystani. — A w ogóle pana nie obowiązują tu żadne przepisy. Panu tu wszystko wolno, panie Kiss.

Jovan Kiss uśmiecha się. Jego porcelanowe oczy nie wyrażają jednak żadnego uczucia.

— Niech pan tak nie mówi, bo zacznę się zalecać do szanownej pani.

Czarnowłosa kobieta chichocze popiskując. Złote, ogromne kółka kolczyków trzęsą się w jej uszach. Trzęsie się również od śmiechu sadło gospodarza.

Lubią Jovana Kissa.

Kiss bierze prysznic w przystani. Potem w kajucie swojej motorówki otwiera pudełko szynki. Kroi pomidory, ogórki, cebulę. Soli, dodaje kilka kropel octu i oliwy. Nalewa sobie dużą szlankę czerwonego wina.

Zmierzch przechodzi w ciemność. Na brzegu zapalają się światła. Jovan Kiss długo obserwuje brzeg. Wyjmuje lornetkę. Dokładnie przygląda się przybrzeżnym domom. Pod wielką wierzbą całuje się jakaś para.

Nie stwierdza niczego podejrzanego. A jednak czuje niebezpieczeństwo.

Dlaczego przeszukali go na granicy?

Ostatnią szklanką wina popija środki nasenne. Od dwudziestu lat stosuje te proszki.

Wypala jednego papierosa. Przy drugim brzegu kołysze się zielone światło rzecznej boi. Wytycza krawędź splawnego szlaku.

O dziewiątej wyciąga się na szerokiej koi. Śpi do rana bez

żadnych snów.

Budzi go kołysanie „Jastrzębia”. Obok przepływa olbrzymi holownik. Z trudem ciągnie pod prąd załadowane barki.

Poziom Dunaju jest wysoki. Prąd silny. Fale rzucają „Jastrzębiem”.

Jovan Kiss spogląda na zegarek. Minęło pół do dziewiątej. Spał niemal pół doby.

Przeciąga się, aż chrupią mu stawy. Wychodzi spod lekkiego, puszystego koca. Zrzuca jedwabną piżamę. Otwiera górny luk kajuty. Słońce i zapach rzeki wdzierają się do środka.

Słupek rtęci barometru podniósł się o jeden milimetr. Wilgotność powietrza wynosi trzydzieści cztery procent. Będzie ciepła, bezwietrzna pogoda.

Jovan Kiss parzy herbatę. Pije ją bez cukru, z kilkoma kroplami śmietanki.

Siorbiąc gorącą herbatę obserwuje brzeg. Zatrzymuje spojrzenie na każdym domu.

Nic podejrzanego. Podobnie, jak to było wieczorem.

Niczego innego się zresztą nie spodziewał.

W dresie i tenisówkach biegnie brzegiem trzy kilometry. Sprawdza tętno. Nie wzrosło ani o uderzenie.

Bierze prysznic. Smaży jajecnicę na wędzonej słoninie. Je do niej marynowaną paprykę.

Od gospodarza pożycza starą skodę. Dwukrotnie podejżdza do stacji benzynowej. W baku „Jastrzębia” mieści się trzysta litrów.

Wielokrotnie spogląda w lusterko. Upewnia się, czy nikt go nie śledzi.

Robi porządek w kajucie. Ściele, zmywa. Przez dziesięć minut studiuje mapę rzeczną.

Kieruje „Jastrzębia” w tę odnogę Dunaju, która prowadzi do Szentendre. Oba drążki gazu ustawia na maksimum. Łódź rwie do przodu. Obroty wskazują 4500. Kadłub zaczyna wibrować. O wiele za mocne te dwa silniki w stosunku do siedmiometrowego kadłuba. Ale tak to zaprojektował Jovan Kiss. „Jastrzębia” nie dogoni żadna milicyjna motorówka.

Po drodze spotyka jedną hamburkę i kilka kajaków. Żadnych wędkarzy. Jest początek czerwca. Sezon się jeszcze nie zaczął.

Wieże kościelne Szentendre. Kopulaste palce wskazujące nad niskimi domami. Miasteczko przypomina bułeczkę. Wypukłą, pachnącą.

Jovan Kiss lubi to zbudowane na wzgórzu miasto. Powoli przepływa obok wysokiego, wyłożonego kamieniem brzegu.

Gdy znikają wieże brzeg staje się płaski. Kiss spogląda na mapę. Kamienna ostroga pod kątem prostym wchodzi w Dunaj. O dziesięć metrów od jej końca czerwona boja.

Poziom wody jest wysoki. Mur ostrogi zaledwie na jeden metr wystaje nad powierzchnię wody.

Jovan Kiss bezpośrednio za kamienną barierą skręca w stronę brzegu. Głębokościomierz wskazuje trzy metry. Kamienna ściana tamuje nurt Dunaju. Toń pod nią spokojna.

Na trzy długości od brzegu głębokościomierz wskazuje dwa metry. „Jastrzębiowi” wystarczy metrowa głębokość.

Motorówka dobija do brzegu. Kiss już jest na dziobie. Wyskakuje na ostrogę. Cumuje linę na kamiennym pachołku. Rufę jachtu zabezpiecza pięcio- kilogramową kotwiczką.

„Jastrząb” spokojnie się kołysze. Kiss z zadowoleniem patrzy na zakotwiconą łódź.

Ze skrytki wyjmuje mapę Szentendre. Przypatruje się jej przez kilka minut. Potem chowa do kieszeni.

Z kamiennej ostrogi wiedzie wąska ścieżka na wysoki nasyp. Wiklinowe krzaki prawie całkowicie zasłaniają nasyp, jest ledwo widoczny i porośnięty pokrzywami.

Jovan Kiss jest zadowolony.

Wdrapuje się na skarpe. Stąd o sto metrów jest szosa. Ścieżka kończy się na nasypie.

Jovan Kiss podnosi suchą gałąź. Siada na nasypie. Czeka pięć minut. Szosą przejeżdżają dwa samochody w stronę Szentendre. Zielony wartburg i jasnoniebieska skoda.

Kiss kładzie gałąź w rowie. W to miejsce winien wrócić — Kiedy dochodzi do skraju miasta skręca w prawo.

Wchodzi na wzgórze. Kręta uliczka wiedzie na główny plac. Po jednej stronie małego placu barokowy kościół z żółtym tynkiem. W tym mieście wszystko jest małe. Nastrojowe. Jak w nadmorskich miasteczkach Dalmacji.

Tam również czuje się jak w domu.

Na szyldzie gospody dwa psy gonią jeleniá. Tu skręca w lewo. Nie wyjmuje z kieszeni mapy.

W piątym domu znajduje się muzeum. Również w żółtym tynku. Również barokowe. Długi, parterowy budynek. Na ulicę wychodzi osiem okien. W każdym z nich kute, żelazne kraty. Przy końcu domu wysoki mur z cegły, też pomalowany na żółto. Zielona, barokowa brama z łagodnym sklepieniem. Po lewej- i prawej stronie wejścia plakaty pod szkłem: MAŁE POSĄGI Z WIELKIEGO ŚWIATA.

Jovan Kiss nie zatrzymuje się przy muzeum. Tu już przechadza się wielu ludzi. Spacerowym krokiem idzie do końca uliczki. Tam zawraca. Zapala papierosa. Rozgląda się wokół. Jak turysta. Tyle, że nie ma zawieszzonego na szyi aparatu fotograficznego.

Rusza z powrotem. Przed muzeum naciska sztyft stopera, na swoim zegarku ręcznym. Spokojnie, spacerkiem, kroczy po kocich łbach bruku.

Na skraju miasta dochodzi do szosy. Teraz panuje na niej znacznie większy ruch.

Już z daleka dostrzega wychylającą się znad zarośli wierzbę. Trzydzieści kroków od tego drzewa znajduje się wskazująca ścieżkę gałąź.

Gdy już jest na kamiennej ostrodze, zatrzymuje stoper. Czterdzieści cztery minuty, pięćdziesiąt pięć sekund.

Jest bardzo gorąco. Zrzuca spodnie. Zdejmuje koszulkę. Zostaje w granatowych kąpielówkach. Słońce mocno przypieka.

Mapę Szentendre drze na drobne kawałki. Pali je w popielnicze.

Wyjmuje mapę rzeczną. Długo wpatruje się w nią. Zgina do tyłu, do przodu.

Podnosi kotwiczkę. Zdejmuje cumę z kamienia. Powoli prześlizguje się obok muru ostrogi. Mija czerwoną boję i

wpływa na żeglowny szlak. Przesuwa do przodu drążki gazu. Dopływa do górnego końca wyspy Szentendre. Na lewo, wysoko, ruiny zamku w Visegrádie. Szerokim łukiem omija okrągłą, wskazującą mieliznę boję. Wypływa na główne koryto Dunaju.

Brzegi oddalają się, woda rozlewa się szeroko. Płyńcie z prądem. Nurt wspomaga pracę silników. „Jastrząb” pozostawia za sobą spienione warkocze wody.

Kiss cofa drążki gazu. Dno łodzi przestaje uderzać twardo o wodę.

Na 1685 kilometrze spławności rzeki czarne boje kierują statki w stronę lewego brzegu. Jovan Kiss zmniejsza szybkość do dwóch tysięcy obrotów. Przecina szlak zmiierzając w stronę prawego brzegu. Głębokościomierz wskazuje czterometrową toń. Potem trzymetrową.

Znajduje się o dwie długości łodzi od wyspy Kompkötő. Mapa wskazuje, że przy południowym końcu wyspy znajduje się głębia. Brzeg wyspy stromo wynurza się z Dunaju.

Przy końcu wyspy Jovan Kiss zawraca i znów płyńcie pod prąd. Silniki ciężko rżężą.

Obserwuje uważnie brzeg wyspy. Drzewa, gęste krzaki, sięgające po pas chwasty.

Dwukrotnie przeczesuje lornetką wyspę.

Żywej duszy.

Nurt jest tu ostry.

W środkowej części wyspy wychyla się z brzegu nad wodę ogromna wierzba. Nagie korzenie wpijają się w Dunaj. Jovan Kiss przywiązuje linę cumową do jednego z korzeni grubości ramienia.

Czeka dziesięć minut. Od czasu do czasu podnosi do oczu lornetkę. Metr po metrze lustruje wyspę. I przeciwległy brzeg również.

Nikogo.

Wyjmuje dwie wędki. Zarzuca je. Wędziska przymocowuje do burty.

Wkłada kombinezon i tenisówki. Twarz grubo smaruje mazidłem przeciw komarom. Na ręce wciąga bawełniane

rękawiczki. Zza skrzynki na narzędzia wyjmuje krótką saperską łopatkę.

Pokrzywy i chwasty sięgają po pas. Ostrożnie rozchyła gałęzie, aby nawet jednej nie ułamać.

Wypłoszone komary unoszą się całymi rojami. Krążą wokół niego i tną. Na nic kombinezon i mazidło na twarzy.

Jovan Kiss podnosi do oczu zawieszoną na szyi lornetkę. Cał po cały przegląda wyspę.

Zywej duszy.

Kładzie lornetkę pod drzewem.

Usłyszy, gdyby ktoś nadchodził. Od strony wody nikt go nie zobaczy.

Zaczyna kopać. Spokojnie. Bez pośpiechu.

Komary dosłownie go zzerają. Pot ścieka mu po twarzy. Płynie spod pach i po udach.

Kończy pracę w ciągu czterech godzin. Co dziesięć minut przerywa kopanie. Nie dla odpoczynku, lecz aby nadśłuchiwać, czy ktoś się nie zbliża.

Tylko komary brzęczą mu nad uchem.

I gdzieś stuka dzięcioł.

Jama jest prawidłowa. Dwukrotnie sprawdza jej wymiary. Wykopaną ziemię układa w kopczyki.

Znajdzie to miejsce nawet w ciemnościach.

Szczypie go pot, swędzą ugryzienia komarów.

Namierza odległość od klonu do znajdującej się nad brzegiem wierzby.

Nie zapomni jej.

Kombinezon, tenisówki oraz łopatkę wkłada do plastikowego worka. Na środku Dunaju zatrzymuje silniki. Całe ciało pali, swędzi. Opuszcza znajdujące się na rufie schodki kąpielowe. Zanurza się w wodzie po biodra. Czeka, aby ostygło mu ciało.

Dwadzieścia minut pływa wokół dryfującego w dół rzeki „Jastrzębia”.

Gdy wraca na łódź, ciało już go nie pali. Nie swędzą tak dotkliwie ukłucia komarów. Nie dotyka tych miejsc.

Wczesnym popołudniem przebiera się. Niebieskie płócienne buty, jasnoniebieskie farmery, granatowa jedwabna koszula.

Do przewieszzonego przez ramię marynarskiego worka wkłada kąpielówki. Ręcznik, mydło, grzebień, wodę kolońską, klapki, płaszcz kąpielowy.

Ciało ciągle jeszcze swędzi.

Autobus jest przepełniony. Kiss nie lubi tłumu. Drażni go zapach potu.

Cofa się w kąć tylnego pomostu autobusu. Jest bardzo gorąco.

Niedaleko od niego stoi rudowłosa dziewczyna. Na szyi małe rubin na cienkim złotym łańcuszku.

Dziewczyna wygląda przez okno.

Jovan Kiss nie zdejmuje wzroku z karku dziewczyny. Oczy ma porcelanowo niebieskie.

Wie, że dziewczyna czuje to spojrzenie.

Dziewczyna odwraca się w jego stronę. W oczach zaciekawienie.

Jovan Kiss uśmiecha się. Dziewczyna opuszcza głowę. Potem podnosi oczy, oddaje spojrzenie.

Stoją od siebie o trzy kroki.

Jovan Kiss nie cofa się. Patrzy na dziewczynę swoimi niebieskimi oczyma.

Dziewczyna rusza w stronę wyjścia. Ostentacyjnie naciska guzik nad drzwiami: sygnalizuje, że będzie wysiadać z autobusu.

Jovan Kiss stoi w kącie tylnego pomostu, nawet nie drgnie.

Rudowłosa dwukrotnie się ogląda. Na przystanku przepuszcza wszystkich i wreszcie wysiada sama i raz jeszcze patrzy w stronę Kissa.

Jovan Kiss uśmiecha się.

Autobus rusza, odjeżdża.

Kiss jest zadowolony z siebie.

Wysiada przy wejściu na Wyspę Małgorzaty. Pieszko zmierza

w kierunku kąpieliska. Wzdłuż drogi kwitną czerwone kwiaty,

Przed kasami kąpieliska kilkaset osób w kolejkach. Jest bardzo gorąco.

Jovan Kiss omija kolejkę, podchodzi do kasy w momencie, kiedy jeden z oczekujących otrzymuje swój bilet. Kiss zagradza drogę następnemu z rzędu. Przez okienko kasy wsuwa czarną, podłużną legitymację. Rutynowym gestem szybko rozwiera kartonik, stuforintowy banknot spada na kolana kasjerki.

— Proszę o kabinę!

Z uśmiechem pokazuje kasjerce i wszystkim wokół legitymację.

Dzieje się to tak błyskawicznie, że kolejka nie jest w stanie zaprotestować.

Jovan Kiss rozkłada swój niebieski płaszcz kąpielowy na spalonej słońcem trawie. Już od trzech tygodni nie było kropli deszczu. Trawa spłowiła, żółkła.

Żeglarski worek kładzie pod głowę. Śpi piętnaście minut. Jedyne w nocy nie jest w stanie zasnąć bez środków usypiających.

Budzi się dokładnie o szesnastej.

Upał nie zmniejszył się ani na jotę. Głośniki ryczą muzykę taneczną. Plaża jest przepelniona. W basenach dziki tłok.

Jovan Kiss przeciąga się. Zarzuca szlafrok na ramię. Wsuwa stopy w klapki. Rusza w kierunku północno-wschodniego krańca plaży. Idzie ostrożnie, żeby nie potknąć się o opalających. Porusza się miękko, niczym kot.

Dostrzega go już z daleka. Dokładnie w samym rogu, pod ogrodzeniem. Na olbrzymim, żółtym ręczniku kąpielowym. Od stóp do głów lśni wysmarowany olejkiem do opalania.

Jovan Kiss zatrzymuje się i rozgląda. Dość długo, dokładnie, lustruje wszystkich znajdujących się w pobliżu łysawego, przysadzistego mężczyzny.

Rozkłada swój niebieski płaszcz obok żółtego ręcznika.

— Pozwoli pan?

— Niestety, nie mówię po węgiersku — odpowiada po serbsku przysadzisty mężczyzna.

Jovan Kiss uśmiecha się.

— A zatem jesteśmy rodakami. Jovan Kiss z Belgradu.

— Milan Davček. Też z Belgradu.

Kilka minut rozmawiają o pogodzie. O tym, jaki jest upał. Nawet w nocy się nie oziębia. Jak na czerwiec jest to niezwykle zjawisko.

I jaki to niezwykły zbieg okoliczności, że oto dwóch belgradczyków spotyka się właśnie tutaj. W Budapeszcie, na Wyspie Małgorzaty. Na kąpielisku Palatinus.

Na prawo od nich baraszkuje młoda para. Dziewczyna popiskuje. Po lewej stronie chrapie jakiś starszy mężczyzna. Leży na wznak na macie. Klatka piersiowa regularnie wznosi mu się i opada

Milan Davček chętnie wyraża zgodę na wypicie czegoś w pobliskim Grand Hotelu. Tym bardziej, że okazuje się, iż Jovan Kiss jest zapalonym wędkarzem. Davček również pasjonuje się wędkarstwem.

— Już dawno rzuciłem swój fach, szefie — powiedział Milan Davček, kiedy cztery miesiące temu Jovan Kiss usiadł przy nim w jednej z belgradzkich kawiarni.

Było przedpołudnie. Na razie tylko dwa stoliki były zajęte w wytapetowanym na żółto lokalu.

Kiss szedł za Davčekiem od momentu, kiedy ten opuścił swoje mieszkanie.

— Ja też — powiedział Jovan Kiss. — Dobrze pan o tym wie.

Krępego, łysiejącego Davčeka policja uważała za geniusza techniki. Nie było zamka, z którym nie potrafiłby się uporać. Szybko i bez hałasu. Specjalizował się zwłaszcza w rozbrajaniu systemów alarmowych.

Tylko trzykrotnie udało się go nakryć i skazać.

Davček miał pięćdziesiąt dwa lata. W komendzie wszyscy wiedzieli, że ma on na sumieniu znacznie więcej niż trzy włamania.

Kiedy Jovan Kiss usiadł obok niego przy marmurowym

stoliku, Davček od czterech już lat przebywał na wolności. Jako elektrotechnik zarabiał znacznie więcej niż ktokolwiek inny w fabryce obrabiarek. Wysoko ceniono jego pracę.

— Wy chyba naprawdę porzuciliście swój proceder — dziwił się kapitan Lovćen.

Ciągle jednak nie mógł uwierzyć, że Milan Davček powrócił na uczciwą drogę. Od czasu do czasu kazał więc go swoim ludziom śledzić.

Na darmo.

Davček pracował osiem godzin, potem chodził na mecze piłkarskie, do kina, łowił ryby. Codziennie pół godziny spacerował z matką. Dwa razy w tygodniu jadał kolacje w karczmie „Pod starą łodzią”. Ze znanstwem wybierał rybne potrawy.

Nie spotykał się z nikim z przestępczego półświatka.

Jovan Kiss również nie wierzył w nawrócenie się Davčeka. Wiedział, że podczas włamania, za które Davček dostał pięć lat, zginęła biżuteria wartości dziesięciu milionów dinarów. Złapano tylko frajera, który kapował na zewnątrz. To on wsypał Davčeka. Inicjator skoku zginął natomiast bez śladu. Łup również.

Jovan Kiss wiedział także, że trzy tygodnie temu zmarła matka Davčeka. Łysy uwielbiał swoją matkę. Codziennie przynosił jej ciastka, ponieważ staruszka przepadała za słodyczami. Była bardzo gruba.

Wszystko to, oczywiście, wiedziano również na milicji. Tylko nie wyciągano z tego takich wniosków, jakie wyciągnął Jovan Kiss.

— Piękna sumka czeka na pana w Austrii — powiedział w belgradzkiej kawiarni Kiss.

Davčekowi nie drgnął nawet jeden mięsień twarzy. Jadł ryż z bitą śmietaną. On również lubił słodycze.

— Nie wiem, o czym pan mówi, szefie.

Kiss wysoko cenił jego spokój.

— Mógłbym powiedzieć również, że ta sumka czeka na pana we Włoszech. Ale ja twierdzę, że w Austrii.

Milan Davček milczał.

— Załatwię panu paszport.

Davček spojrział na Kissa. Na jego twarzy dalej malował się spokój.

— Jeśli wystąpię do władz z prośbą, to najprawdopodobniej otrzymam ten paszport bez żadnej protekcji — mówi Davček.

— Być może. A jeśli nie?

Davček zabrał się za swój ryż z owocami.

— Ja już z tym skończyłem, szefie.

Jovan Kiss wyjął mu z dłoni łyżeczkę. Włożył ją między duży i wskazujący palec. Zacisnął pięść. Trzonek stalowej łyżeczki pękł na dwoje.

— Wtedy pan skończy, gdy znajdzie się pan w Austrii.

Udział Davčeka wynosił dwa miliony. Plus procenty. Kiss znał nawet nazwę banku. Otrzymał w tej sprawie stuprocentową wiadomość.

Milan Davček miał jedną namiętność. Młodych chłopców.

A to wymagało pieniędzy. Coraz więcej pieniędzy.

Milicja oczywiście znała i tę jego pasję. Homoseksualizm nie był jednak karalny. A Davček nie wydawał więcej, niż zarabiał. Ale zdawał sobie sprawę, że goła pensja nie będzie już mu wkrótce starczać.

— Czego pan żąda?

— Małej pomocy. Po drodze. Na Węgrzech.

— Sejf?

— To nie pańska sprawa. Absolutnie czysta robota. A dla pana dziecinna zabawka.

— Każdy uważa swój skok za absolutnie czysty i dziecinnie łatwy — powiedział Davček. Jovan Kiss skinął głową.

— Tylko że teraz ja będę faktycznie szefem.

Milan Davček podniósł się. Podszedł do bufetu.

Wziął łyżeczkę. Wrócił do stolika i zaczął jeść swój ryż z owocami i bitą śmietaną.

— Pragnę spokoju.

Jovan Kiss był tego świadom.

— Jeśli dogadamy się, będzie miał pan spokój.

— W porządku — powiedział Milan Davček.

Nie wydawał się być zaskoczony. A przecież poza nim o wiedeńskim koncju wiedziało tylko dwóch ludzi. I jak się okazało, jeszcze ten mężczyzna, który przed chwilą przysiadł się do Davčeka i który był emerytowanym majorem wydziału kryminalnego milicji.

Milan Davček widział już w życiu wiele różnych rzeczy. I niczemu się nie dziwił. Nauczył się również milczeć. Należało to do jego fachu.

— Wszystko w porządku? — pyta Milan Davček, kiedy już siedzieli razem na tarasie Grand Hotelu.

Nawet czubek głowy spływa mu potem. Chusteczką w kratkę wyciera twarz.

Ciągle panuje upał.

Jovan Kiss odpowiada skinieniem głowy. O kontroli na granicy nie ma zamiaru mówić.

Zamawia małe campari. Z cytryną, wodą sodową i lodem. Davček prosi o lemoniadę. Nie pija alkoholu.

— A co u pana?

W porządku. Na granicy osteplowano mu paszport tak samo automatycznie jak i pozostałym pasażerom.

W drodze z kąpieliska do Grand Hotelu Kiss wielokrotnie się oglądał.

Nikt za nimi nie szedł.

Na tarasie tłok. Stoliki ustawione w cieniu kolorowych parasoli. Jovan Kiss uważnie przygląda się sąsiadom

Nie chce szeptać.

Gdyby ktoś przysłuchiwał się ich rozmowie usłyszałby, co następuje:

— Chętnie użyję swoich rezerwowych wędek.

— Bardzo pan miły.

— Zawsze zabieram ze sobą większy zapas. Mam dość miejsca w łodzi.

— Nie przyjechałem tu łowić. Tylko na urlop. Ale mała wyprawa na rybki jest więcej warta niż cokolwiek.

— No, nie należy oczekiwać za wiele. Tu ryba marnie bierze.

— Złapałem niedawno pod Zemunem szesnastokilogramowego szczupaka. Zamieszczono zdjęcie w piśmie wędkarskim.

— Przyjdę po pana do hotelu.

— Dziękuję.

— Moglibyśmy przy okazji obejrzeć museum w Szentendre. To takie małe miasteczko, wie pan. Dwadzieścia kilometrów od Budapesztu. Gazety piszą, że właśnie jest tam ciekawa wystawa.

— Nie znam się za bardzo na sztuce. Obrazy?

— Figurki. Figurki i rzeźby. Wystawa małych posągów z wielkiego świata. Taka jest nazwa wystawy. Z Egiptu, Meksyku, Indii, W gazetach piszą, że żadna z tych rzeźb nie przekracza dwóch cali.

— Ostatecznie możemy obejrzeć.

— Powyżej miasteczka, na Dunaju, znajduje się kamienna ostroga. Może pod wieczór coś tam złowimy.

— Ja lubię Grockę. Rybacy twierdzą, że pod tym wzgórzem grasuje w Dunaju stary sum, który waży co najmniej czterdzieści kilogramów. Już od dwóch lat staram się go złowić.

— Może kiedyś spróbujemy we dwójką.

Jovan Kiss oraz Milan Davček o jedenastej zjawiają się pod wejściem do muzeum. Za bramą znajduje się mały przedsionek. W końcu tej sieni, za zniszczonym stołem, siedzi siwowłosa kobieta. Na stole katalogi. Kolorowe pocztówki z zabytkami miasteczka.

— Po dwa forinty od osoby — podaje bilety kobieta.

Na ramionach ma włóczkową chustę. W muzeum panuje przyjemny chłód. Na dworze pali słońce.

— Proszę pójść na lewo. Tam się znajduje zbiór z Indii.

W sali indyjskiej w gablotach siedzą złożone posążki Buddy, Wiszny, Kriszny. W dwóch następnych salach egipskie miniatury z terakoty. Wykonane przez Inków figurki zwierząt. Rzeźby z kości słoniowej z Malezji. Toczne

przez czerw średniowieczne korpusy z drewna. Japońskie figurki z półszlachetnych kamieni.

W budynku bardzo łatwo się rozeznać. Z przedsionka prowadzą jedne drzwi do sali po lewej stronie, dwa wejścia do sal po prawej. Okna wychodzą na ulicę. Za siwowłosą kobietą dwuskrzydłowe drzwi. Zapewne wiodą na podwórze. Jovan Kiss domyśla się, że mieszkanie kustosza znajduje się w oficynie

Milan Davček nawet nie patrzy na posążki. Przygląda się ścianom, kontaktom, przewodom

Nad drzwiami drobne pudelka. Jest to bardzo prymitywne urządzenie.

Dwanaście lat temu Davček rozmontował system alarmowy jednego z zagrzebskich banków. Pracował nad nim sześć godzin, mimo że miał przy sobie schemat połączeń. Po dziś dzień nie zapomniał szkicu owego schematu.

Milicja nigdy nie potrafiła udowodnić mu tego przestępstwa. Tylko z mistrzostwa roboty wnioskowano, że włamania dokonał Davček.

Milan Davček czuje się urażony. Z tą tandetą poradziłyby sobie najzwyczajniejszy elektryk. To nie jego klasa.

W kącie środkowej sali siedzi starszy mężczyzna. W marynarce, w krawacie. Sumiasty, siwy wąs. Jakby drzymał.

Jovan Kiss zna ten rodzaj muzealnych strażników. Emeryci, na drobnym ryczałcie.

— Przepraszam bardzo, gdzie tu jest toaleta?

Stary jednak nie śpi. Tylko głowa wahała się mu do przodu.

— Niestety, tu nie ma toalety. Jest na placu.

Jovan Kiss chciałby to sprawdzić. Nieważne. Wierzy swemu informatorowi.

Jeszcze raz ogląda gabloty. Posążki stoją pod przykręconymi do stołów płytami pleksiglasu.

Jeszcze nigdy nie pracował w muzeum.

Warte ciężkich milionów posążki zasługiwały na lepszą ochronę.

A zatem otrzymane wiadomości były dokładne.

Dziesięć zabawa.

Rozgląda się wokół.

Davčeka już nie ma w muzeum.

Było w tym pewne ryzyko, że wspólnie tu przyszli. Ale Davček nie umie po węgiersku. Mówiącego po serbsku mężczyznę łatwiej jest zapamiętać.

— Do widzenia — żegna się z siwowłosą kobietą.

— Do widzenia — odpowiada kobieta.

Nawet nie podnosi oczu. Jest zajęta czytaniem. „Wojny i pokoju” Tołstoja. Bołkoński właśnie został ranny.

Książkę wypożyczyła z miejscowej biblioteki.

— Dziesięć — mówi Davček.

„Jastrząb” ciągnie za sobą spienione warkocze wody.

— Nie rozumiem, po co mnie pan do tego ściągnął.

Jovan Kiss nie odpowiada. Rozkoszuje się pędem.

Cichą, równomierną pracą obu silników.

— Niech się pan dobrze wyśpi! Potrafi pan po południu zasnąć?

— Zasypiam, kiedy zechcę.

— Na prochach?

— Nigdy ich nie brałem.

Lewą stroną Kiss wyprzedza bułgarski holownik. Statek pcha przed sobą cztery wyładowane drewnem barki. Kiedy motorówka znajduje się na wysokości mostku kapitańskiego, Kiss pozdrawia sternika. Ten odpowiada mu identycznym gestem.

Gdzie też oni jutro będą, myśli Kiss.

Już jest spokojny. Ponieważ czuje niebezpieczeństwo.

— Niech pan nie będzie taki pewny siebie. Przez dwadzieścia lat ja też nie wiedziałem, co to środki nasenne. A teraz zażywam każdego wieczoru-

Twarz Davčeka lśni od olejku do opalania. Ma wrażliwą cerę.

— Mowy nie ma. Ledwo się położę, już śpię.

Kiss wysadza Davčeka na brzegu.

Wypija trzy szklanki czerwonego wina. Łapczywie, jedna za drugą. Choc spać.

Ogarnia go niepokój. Lubi jednak taki niepokój.

Mocne wino działa oszałamiająco. Nic nie je. Wypija jeszcze jedną szklankę. Dunaj wartko płynie. Kiss wygodnie wyciąga się na siedzeniu. Patrzy na wodę. Nie myśli. Jest rozluźniony.

Takim był właśnie dawny Jovan Kiss. Ten miody. Którego przyjaciele nazywali Wilczurem.

Śpi do szóstej wieczorem. Budzi się przed sygnałem budzika. W takich sytuacjach nawet podczas snu ma doskonałe wycucie czasu.

Parzy kawą. Podwójną. Otwiera paczką kentów. Małymi łykami pije gorącą kawą. Głęboko zaciąga się dymem z papierosa.

Zbliża się grupa młodych kajakarzy. Z zapalem zagarniają wodą wiosłami. Trener wykrzykuje z motorówki polecenia.

Po panującym w dzień upale powietrze jest teraz przyjemne.

Kiss je ser oraz salami. Z dużą ilością chleba. Jest głodny. Okruchy wysypuje do rzeki.

Jovan Kiss wyciąga dwa plecaki. Spod desek podłogi wyjmuje dwie lekkie aluminiowe skrzynki. Są one wyłożone grubym filcem.

Z szafki wyciąga nylonowy worek. W drugim worku znajduje się kombinezon, tenisówki i rękawiczki dla Davčeka. Nowiutkie.

W kombinezonie Jovana Kissa są dwie skórzane kieszenie. Na prawym udzie i pod lewą pachą. Wsuwa do tych kieszeni noże. Na łodzi ma jeszcze sześć noży. O różnych ostrzach.

Każdym z nich Jovan Kiss trafia z dziesięciu metrów w sam środek karty do gry. Na dziesięć rzutów — dziesięć trafnych.

Bardzo długo to ćwiczył.

Kapitana Coole zrzucano na spadochronie do partyzanckiego obozu. Jovan Kiss już trzeci mieniąc był wtedy w górach. Nie miał jeszcze munduru. Tylko starą strzelbę. I

czapkę z czerwoną gwiazdą.

Przed czterema miesiącami dowiedział się, że całą jego rodziną zamordowano w Nowym Sadzie. Ojca, matkę i młodszą siostrę. Rozstrzelano ich nad brzegiem zamarzniętego Dunaju i wrzucono do lodowatej rzeki. Przed egzekucją musieli się rozebrać. W piętnastostopniowy mróz. Jovan Kiss dostawał dreszczy, gdy myślał o swoich najbliższych.

Jego ojciec był spokojnym człowiekiem. Matka — dumną i hardą kobietą. Kiedy on lub siostra popełnili coś złego, przez trzy dni nie odzywała się do nich. A potem musieli całować ją na przeprosiny w rękę.

Jovan Kiss by? przekonany, że matka nie zadrżała przed egzekucyjnym plutonem.

A jeśli to tylko z zimna.

Kiss chodził na uniwersytet w Belgradzie. Był studentem pierwszego roku prawa. Po raz pierwszy zetknął się ze śmiercią, kiedy Niemcy zbombardowali Belgrad. Bomba trafiła dokładnie w sam środek sąsiedniego domu. Jovan Kiss wydobyl z ruin sześćioletnią dziewczynkę. Z urwanym lewym ramieniem. Jakaś staruszka nie miała głowy. Zmarłych układano rzędem na skraju jezdni.

Trzydzieścioro dwoje. Nikt z tego domu nie został przy życiu.

Od tej chwili Jovan Kiss chciał tylko zabijać. Widział we śnie szeroko otwarte, niebieskie oczy siostry. Budzili go towarzysze, bo głośno krzyczał przez sen. Potem już tylko leżał w ciemnościach, marzył i widział oczy siostry.

Musiał zabijać.

Zdażył później zabić wielu ludzi. Wtedy już nie śnił o siostrze. Czasami widział we śnie kamienną twarz swojej matki. Była piękna. Na próżno jednak do niej przemawiał, matka nie odzywała się. W taką noc był cały mokry od potu. Jego ciało cuchnęło potem. Ale już więcej nie krzyczał przez sen.

Kompania ustawiła się na polanie. Kapitanowi Coole towarzyszyli dowódca i tłumacz. Kapitan był blondynem. Miał małą, ptasią głowę.

Był przynajmniej o dziesięć kilogramów lżejszy od Kissa. A jednak w czasie pierwszej walki załatwił go w dwie minuty. Jovan Kiss nie zdążył nawet się zorientować, kiedy kapitan uderzył go kantem dłoni.

Świat pociemniał mu przed oczyma co najmniej na minutę.

Kapitan Coole nosił mundur armii brytyjskiej. Na wypłowiej kurtce wstążeczki odznaczeń. Jak wieść niosła, poprzednio pracował na pustyni. Nikt nie wiedział jednak, skąd ta wieść pochodziła. Kapitan Coole nigdy bowiem nie zwierzał się.

Wybrał z kompanii pięciu ludzi. Z innych oddziałów również dobrał sobie, kogo chciał. Długo przypatrywał się im spod zmrużonych powiek. Potem przesunął się o krok dalej i dał znak.

Jovan Kiss całymi miesiącami nie miał okazji do zabijania. Ćwiczyli jednak przez czternaście godzin dziennie. Kapitan Coole nauczył ich czytania śladów, pisania szyfrem, maskowania się, minowania, walki wręcz.

W pierwszym rzędzie usiłował ich nauczyć tego, aby zawsze przewyciężali strach.

— Żołnierz może się bać — mówił kapitan Coole — to mu nie przeszkodzi być dobrym żołnierzem. Ale zwiadowca nie może, ponieważ oznaczałoby to jego koniec.

— Dwóch ludzi z bronią to betka. Jeśli będziecie sprytni, nie musicie się bać, nawet gdy będzie ich trzech czy czterech. Nigdy nie zapominajcie: oni są tylko żołnierzami. Nie potrafią niczego więcej poza naciskaniem spustu.

Pistolet uważał za całkowicie bezwartościowy. Za zabawkę. Dobrą do straszenia. I to z dwóch kroków.

Karabin snajperski z lunetą to co innego. Z pięciuset metrów można nim rozwalić całe ramię.

Komu rozwali się ramię, ten już nie będzie się bronił.

Ale snajperskiej broni nie było w tym czasie w całym partyzanckim pułku.

Pistolet maszynowy jest groźną bronią, trzeba uważać. Z takiej broni nawet najgłupszy żołnierz może trafić. Oczywiście z niewielkiej odległości. Trzeba go więc sprowokować, żeby

wystrzelał cały magazynek. Wtedy przez trzydzieści sekund jest bezbronny. A to wystarczy, aby zwiadowca załatwił go nawet gołymi rękoma.

— Zwiadowca — zaakcentował kapitan Coole. — Nie wy, lecz zwiadowca.

Posadził trzech partyzantów na polance. Z pistoletami w kaburach przy pasie. Wtedy już Jovan Kiss również nosił mundur.

Zauważyli kapitana, gdy dzieliły go od nich tylko cztery kroki. Pierwszemu zadał cios w kark. Młody Macedończyk rozciągnął się na ziemi. Twarzą w stronę nieba. Jovan Kiss wyrwał pistolet z kabury. Dostał uderzenie w ramię. I przestał mieć ramię. Z barku zwiisał mu bezwładny worek piasku. Trzeciemu nogą wytrącił broń z dłoni. I powalił uderzeniem głową w żołądek. Bykiem.

— To po prostu zawód, panowie — powiedział kapitan Coole. — Rzemiosło. Trzeba się tego nauczyć. A następnie ćwiczyć. Stale. Jak wirtuozi skrzypiec. Kto nie kwiczy, na tym można postawić krzyżyk.

Potem Coole usiadł na polance. Nie miał przy sobie broni. Palił papierosa.

Jovan Kiss podszedł go od tyłu. Brakowało już tylko jednego skoku... Wtedy zleciała mu z głowy czapka.

Kiss nie zauważył, skąd kapitan wyciągnął nóż. A także prawie nie dostrzegł momentu, w którym rzucił tym nożem.

— Dostałbyś nie w czapkę — powiedział kapitan Coole. Sztyletu był zawsze pewny.

— Jest bezgłośny. Z dziesięciu metrów pewne trafienie. Trzeba celować w żołądek. Żeby ostrze nie ześlizgnęło się po żebrach.

— A co nieobojętne — kontynuował Coole — jeśli wpadniecie i znajdą przy was pistolet, to idziecie pod ścianę. A jak nóż — mój Boże, z tego można się wytłumaczyć.

Amunicji też do noża nie trzeba. A ćwiczyć można wszędzie.

Niemniej kapitan miał również pistolet. Colta z długą lufą. Nigdy go jednak nie używał.

Na pierwszą akcję wziął ze sobą ich czterech. W ciągu

półtora dnia przemaszerowali sześćdziesiąt kilometrów. W górę i w dół po skałach i szczytach. Stale ubezpieczając się nawzajem.

Magazyny były ogrodzone kolczastym drutem. Przed ogrodzeniem stał strażnik z pistoletem maszynowym.

Kapitan oczyma dał znak Kissowi.

W rękę odbezpieczony pistolet maszynowy.

Jovan Kiss w ciągu pięciu minut podszedł strażnika. Czował się, popychając łokciami i kolanami.

Czuł napięcie, za którym potem nieustannie tęsknił. Nie po ziemi się czował, lecz po niebezpieczeństwie, po ryzyku.

Kiedy strażnik odwrócił się, Kiss uderzył go w kark. Trenowanym po sto razy ciosem. Gdy Niemiec upadł, Kiss nadepnął mu na szyję. Pod grubą podeszwą z chrzęstem pękła grdyka.

Jovan Kiss nie zastanawiał się. Pracował. Jak zawodowiec. Wbił nóż w serce Niemca. Czuł, jak pod stopą drgnęło ciało wroga.

Kapitan Coole zginął od granatu ręcznego. Na czele małego oddziału zaatakował dowództwo niemieckiej dywizji. Z rozerwanego brzucha wyszły mu bebechy.

Partyzanci przynieśli jego zwłoki do obozu.

Został pochowany jak wszyscy. Bez trumny. W kamienistej ziemi.

Po zwycięskim zakończeniu wojny ekshumowano prochy kapitana Coole. Zabrano je do domu, do Anglii.

Jovan Kiss nigdy nie był w Anglii. Nie mógł więc pójść na grób kapitana Coole. Nie wiedział nawet, jakie było prawdziwe nazwisko kapitana.

W chlebaku kapitana Coole znalezione jego testament. Swojego colta pozostawił w spadku Jovanowi Kissowi. Wraz z czterema nabojami.

Z tego pistoletu o długiej lufie Kiss zabił czterech Niemców. Ale w zasadzie pracował gołymi rękoma. Lub nożem.

Było po północy, kiedy dotarli do muzeum.

Niebo zachmurzyło się.

Warunki sprzyjające, stwierdza w duchu Kiss.

W takich okolicznościach wyostrza mu się słuch. W jednym z pobliskich domów bije ścienny zegar. Po wejściu na wzgórze Davček oddycha ze świstem. Na drodze nie spotykają żywej duszy. Nigdzie nie świeci się okno. Miasteczko śpi.

Obaj są w szarych kombinezonach, na nogach granatowe tenisówki.

Pod muzeum wkładają na dłonie czarne, bawełniane rękawiczki. Na głowy naciągają czarne pończochy. Na tenisówki — nylonowe torebki. Starannie umacniają je w kostkach gumką.

Otwarcie bramy zajmuje Davčekowi dwadzieścia sekund. Zawiasy nie skrzypią.

Przywoici ludzie, stwierdza w myśli Kiss.

Davček zamyka bramą.

Idą wzdłuż ściany aż do mieszkania kustosza. Kiss naciska kławkę. Drzwi otwierają się. Bezgłośnie.

Przywoici ludzie, stwierdza w myśli Kiss.

Jovan Kiss zapala swoją latarkę. Drzwi na prawo wiodą prawdopodobnie do kuchni. Obok niej łazienka. Następne drzwi to być może jadalnia. Albo sypialnia.

Kiss nie wie, z ilu pokoi składa się mieszkanie kustosza.

Podłoga skrzypi pod nogami. Nie przejmuje się tym. Wchodzi do pokoju. Stół, cztery krzesła, kredens. Na przeciwległej ścianie jeszcze jedno drzwi.

To sypialnia.

Ostrą smugą światła przeczesuje podwójne, brązowe łoża małżeńskie. Za plecami słyszy sapanie Davčeka.

W łóżku, po lewej stronie, śpi siwowłosa kobieta, która sprzedawała bilety. Ma spokojną twarz.

Jovan Kiss oświetla teraz okna. Zasłony są spuszczone.

Zapala światło.

Kustosz mrużąc oczy podnosi się ze snu, siada. Przeciera oczy. Jest w białej koszuli nocnej.

Kobieta nie podnosi się. Naciąga po szyję koc.

— Jak będziecie cicho — mówi Jovan Kiss — nie stanie się

wam nic złego.

Z kieszeni kombinezonu wyjmuje sznur ze sztucznego tworzywa. Wiąże kobietę. Uważa, żeby niezbyt mocno zacisnąć sznur. Zakleja jej usta plastrem.

Davček stoi przy łóżku kustosza. Kiss wie, że nie może na niego liczyć. To nie jego fach.

Usta starego człowieka są jak paszcza suma. Opadające w dół. Rzadki włos na głowie zmierzwiony od leżenia.

Kiss kieruje ostrze noża w stronę jego gardła;

— Gdzie jest wyłącznik systemu alarmowego?

Starzec mruga oczyma. Kiss naciska rękojeść noża.

Kustoszowi oczy wychodzą z orbit.

— Gdzie jest wyłącznik?

Stary człowiek wydaje z siebie piskliwy krzyk. Zrywa z głowy Jovana Kissa czarną pończochę.

Kiss uderza kantem dłoni w szyję kustosza.

Starzec charczy. Pada z powrotem na łóżko.

Jovan Kiss łapie kustosza za gardło. Oburącz. Naciska Ale uważnie. Po minucie rozluźnia ucisk. Kustosz ze świstem łapie oddech.

Kiss słyszy sapanie Davčeka.

— Gdzie jest wyłącznik?

— W przedpokoju — szepcze stary człowiek.

Głosu nie może z siebie wydobyć.

Milan Davček znajduje tuż za drzwiami tablicą rozdzielczą. Odkręca śrubokrętem wierzchnią przykrywę. Przez dwie minuty przypatruje się systemowi alarmowemu

Tak prymitywnego urządzenia jeszcze nie widział.

I to wprawia go w zdenerwowanie.

Pracuje bardzo ostrożnie

Inna sprawa, że zawsze ostrożnie pracuje.

Kiss wiąże kustosza. Tak samo jak jego żonę. Zakleja mu usta.

Czarnej pończochy nie wciąga na głowę. Teraz nie ma to już znaczenia. W ciągu dwóch godzin wyjmują z gablot i witryn wszystkie figurki. Kiss pieczołowicie owija je w watę. I dopiero potem układa w aluminiowych pudłach. A pudła wkłada do

plecaków.

— Niech pan zaczeka na mnie przy bramie.

Podaje swój plecak Davčekowi.

Łysy intensywnie się poci. Jovan Kiss brzydzi się potu.

Chwyta Davčeka za ramię. Ścisną tak mocno, że tamtemu trzeszcza stawy. Wypycha go w stronę wyjścia.

Wspólnik z dwoma plecakami w ręku potyka się. Jovan Kiss ponownie chwyta Davčeka za ramię. Tym razem jednak nie ścisną za mocno. Podtrzymuje.

Milan Davček wychodzi.

Według obowiązujących w milicji reguł zabija się jedynie wtedy, gdy jest to nieodzowne.

Nie tego jednak uczył się w górach Jovan Kiss.

Tam bowiem zabijało się wtedy, kiedy tylko było można.

Jovan Kiss zabił wielu ludzi. Z pistoletu maszynowego celował zawsze w żołądek. Lewą ręką naciskał w dół magazynek pistoletu, żeby odrzut nie podnosił lufy.

Inaczej z nożem. Wtedy dotykał śmierci ręką. Słyszał rżenie.

Żandarmi połowi nie słyszeli rżenia jego siostry. Mówiono, że wszyscy byli pijani. Po wystrzeleniu każdego magazynka pociągali z manierki.

Jovan Kiss nigdy nie zabijał po pijanemu.

Na brzegu Dunaju stali uzbrojeni żandarmi. I rozebrane ofiary.

Jovan Kiss zawsze zabijał ludzi z bronią. Takich, którzy mogli zabić i jego.

Sto procent, mawiał kapitan Coole. Zawsze ze stuprocentową pewnością.

— Oczywiście — mówił Coole — nigdy nie ma stuprocentowej pewności.

Od chwili zakończenia wojny Jovan Kiss zabił trzech ludzi. Jednego mordercę, który kulą ze swego rewolweru wyrwał mu watę nad ramieniem.

I jeszcze dwóch innych.

Gdyby istniała stuprocentowa pewność, nie byłoby ryzyka.

Jovan Kiss gasi światło w sypialni. W smudze światła

kieszonkowej latarki widzi starą twarz administratora. Na ustach pofałdowany plaster. Usiłował krzyczeć.

Naciąga koc na głowę starca.

Narzuca również koc na głowę kobiety.

Będzie źlej, gdy ci starzy ludzie nie będą go widzieć.

Wie o tym.

Wie bardzo dobrze.

Serce kobiety łomocze. Koc unosi się.

Jovan Kiss wbija nóż.

Ciało staruszki wypręża się pod kocem. A potem wiotczeje.

Jovan Kiss wyciąga nóż z ciała. Przechodzi na drugą stronę brązowego łoża małżeńskiego. Zrywa koc z głowy kustosza. Kantem dłoni uderza w aortę na szyi.

Wie, że teraz starzec nic już nie będzie czuł.

Nawet wchodzącego między żebra ostrza sztyletu.

Potem odsłania twarz kobiety.

Ma szklane oczy.

Nie dowie się już, co się stało z księciem Bołkońskim.

Omija łóżko.

Starzec nieruchomo patrzy w sufit. Na jego obliczu jakby wygładziły się zmarszczki.

Jovan Kiss wie, że ten człowiek już niczego nie widzi.

Napatrzył się w swoim życiu na trupy.

Danilo Vujičić leżał wraz z nim za skałą. Nie mogli nawet drgnąć. Znajdowali się pod obstrzałem dwóch niemieckich karabinów maszynowych.

Pach. trzasnęło o skałę.

Jeszcze raz się udało, pomyślał Kiss.

Nie uniósł jednak głowy Ostrożnie obrócił twarz w tę stronę, gdzie leżał Vujičić.

Danilo Vujičić gapił się w niebo. Dał wicher. Chmury goniły się po niebie

Vujičić nie widział już chmur.

Niczego już nie widział

W skroń wbił mu się odłamek skały. Tylko koniuszek wystawał

Jovan Kiss starannie otarł nóż o koc. Wsunął go w

skórzaną kieszonkę kombinezonu.

Z ojcem nigdy nie spotykał się w swoim snach. Ojciec uczył geografii w gimnazjum w Nowym Sadzie. Miał węgierskie nazwisko, ale zawsze uważał się za Serba. Według geografii ojczyzna jest tam, gdzie się żyje.

Jovan Kiss zawsze obserwował oczy zabijanych przez siebie Niemców. Wiedział, kiedy będzie im nieruchomieć wzrok.

Nie lubił pistoletu maszynowego. Wtedy nie widział oczu.

Jovan Kiss sześć razy był ranny. Za każdym razem kule tylko się otarły o niego.

Bolało okrutnie.

Kiss odbiera swój plecak od Davčeka.

Czuje, że łysy się poci.

Głową wskazuje na bramę.

Davček nie rusza się jednak.

Niebo jest już teraz bezchmurne.

Świeci księżyc.

Twarz Milana Davčeka perli się potem. W oczach przerażenie.

— Co pan z nimi zrobił?

Jovan Kiss wskazuje na bramę.

Davček otwiera ją.

Już mu nie trzęsie się ręka.

W trzydzieści cztery minuty wracają na brzeg Dunaju. Kiss odmierzył czas na stoperze.

W miasteczku wszyscy śpią. Dmie łagodny wiatr. Północno-zachodni.

— Proszę zalutować skrzynki! — odzywa się Kiss.

Są już na wodzie.

Milan Davček przełącza lutownicę na akumulator. Jovan Kiss widzi, że znowu trzęsą mu się ręce.

— Niech się pan skupi.

Lutownica syczy.

— Gotowe?

— Nie wolno było panu tego zrobić.

Z Davčeka aż wali pot.

Łysy zrywa przewody z akumulatora. Wrzuca je do wody.
Jovan Kiss ściąga w dół oba drążki gazu. Dziób łodzi
niemal nurkuje w wodę. Davček pada przed siebie.

Kiss obraca się do tyłu na swoim krzeselku przy sterze
Czuje zapach potu.

Brzydzi go ta woń.

Jego porcelanowo niebieskie oczy są zimne.

— Trzydzieści lat pracuję w tej branży — charczy Davček
— i jeszcze nigdy nie widziałem krwi. Rozumie pan?

Jovan Kiss zapala papierosa. Głęboko zaciąga się
dymem. Widzi zmienioną twarz Davčeka.

— Wie pan, ilu zabiłem ludzi?

Łysy nie odpowiada, poci się.

Jovan Kiss uśmiecha się.

— Ja też tego nie wiem.

Przesuwa do przodu drążki gazu. Powoli, przepisowo.

— Powiem coś panu.

Jovan Kiss jest niespokojny. Tylko głos ma opanowany.

— Nie ma najmniejszego sensu, żeby wpisał się pan na
listę nie zidentyfikowanych trupów.

Kiedy po wojnie w Belgradzie dokonano uroczystego
odsłonięcia pomnika Nieznanego Żołnierza Jovan Kiss
wszedł w skład warty honorowej.

Błyszczące buty z cholewami, nowiutki mundur. Prawą ręką
trzymał magazynek pistoletu maszynowego, lewa spoczywała
na kolbie.

Stał nieruchomo obok niebieskawego jęczyczka płomienia.

Przed nim defilowały setki tysięcy ludzi.

Radziecki holownik ciągnie za sobą sześć barek. Swoim
reflektorem omiata „Jastrzębia”.

Jovan Kiss naciska sygnał.

Holownik odpowiada buczeniem syreny.

Setki tysięcy goździków, róż, chryzantem.

Kiss nieruchomo stał na warcie.

Obie skrzyńki ściśle pasują do wykopanych dołów.

Jovan Kiss dokładnie je wymierzył.

Dłońmi w rękawiczkach Kiss wyrównuje kopczyki. Jak na

grobach współtowarzyszy .

Ziemia jest świeża, ale mało prawdopodobne, aby ktoś tu nawet przypadkiem zabłądził.

W nocy nie ma komarów

Nim wsiądą do łodzi, rozbiorą się, Jovan Kiss wkłada do nylonowego worka kombinezony, tenisówki, rękawiczki, pończochy Nóż wrzuca do wody. W kilku miejscach dziurawi worek Zanim go zwiąże, włoży jeszcze do środka stary generator. Ten ciężar pociągnie worek na dno.

Wrzuca worek do wody na kilwatrze łodzi. Worek natychmiast tonie.

Byle włos, byle ślad, byle grudka ziemi. Wszystko może naprowadzić na ich ślad. Stać się dowodem rzeczowym.

Stuprocentowa pewność, mawiał kapitan Coole.

Gdyby jednak istniała stuprocentowa pewność!

Jovan Kiss mimo wszystko od siebie żądl właśnie stuprocentowej pewności.

Jeszcze nie świta, kiedy Jovan Kiss skręca swoim „Jastrzębiem” w stronę brzegu.

Nie zapala pozycyjnych świateł. Nie używa reflektora Obserwując linię drzew po omacku zbliża się do brzegu. Kiedy był tu poprzednim razem, zapamiętał to miejsce.

Zarzuca kotwicę. Długo obserwuje przez lornetkę brzeg.

Kładzie się na koi obok spoconego Davčeka. Brzydzi go zapach potu. W czasie wojny nie myli się całymi tygodniami.

Nie było czym.

Jedną noc spędził zagrzebawszy się w kupie gnoju.

Wie, że leżący obok niego na szerokim łożu Davček również nie śpi. Wie też, że Davček chce rozmawiać.

Ale Jovan Kiss nie chce rozmawiać z Davčekiemi.

— Szefie! — odzywa się Milan Davček.

Kiss nie odpowiada.

— Wiem, że pan nie śpi.

— Czego pan chce?

— Czy pryśniemy dzisiaj?

— Pryśnie pan, gdy na to przyjdzie pora.

— Na co, u Boga, pan czeka? Nim by się zbudzili — my bylibyśmy już w Austrii.

Jovan Kiss również tak to planował. Przed południem dopłynęliby do granicy. W tym samym niemal momencie, kiedy zaczynałoby się śledztwo.

Zabił jednak dwoje ludzi.

A to pokrzyżowało wszystkie ułożone poprzednio plany.

— Niech pan śpi, Davček!

Davček nie chce jednak spać.

— Niech pan przynajmniej odpowie, na co my czekamy?

Jovan Kiss zapala papierosa. Popielniczka z żółtej miedzi znajduje się na półeczce nad jego głową.

— Nie chce pan wracać — mówi Davček.

To nie jest pytanie, to stwierdzenie.

— A ja chcę wrócić — ciągnie Davček.

Jovan Kiss zaciąga się dymem. W blasku żarzącego się papierosa widzi pokrytą perlistym potem twarz Davčeka.

— Milicja sprawdzi, kto opuścił ten kraj po morderstwie.

Chce mu się pić, jest bardzo spragniony, ale nie chce mu się teraz ruszyć z koi.

— Nie życzę sobie, żeby moje nazwisko figurowało na tej liście. Nie chcę figurować na żadnej milicyjnej liście.

Musi mówić. Musi uspokoić Davčeka.

— Po dwóch dniach znów pojedziemy na ryby. Potem jeszcze raz. Nie zostawiliśmy żadnego śladu.

I pan też o tym wie. Po tygodniu wyjedziemy. Wtedy nie znajdzie się na żadnej liście.

Papieros przypala paznokieć. Na dworze zaczyna już szarzeć. Jovan Kiss jest zdenerwowany. Gdyby godzinę wcześniej wszystko to się skończyło, nie miałby teraz problemów z Davčekiemi...

— Ja się wycofuję — mówi Davček.

Kiss chciałby zapalić następnego papierosa. Nie zapala. Ani drgnie.

— Może pan to zrobić. Ja natomiast mogę zatelefonować do belgradzkiej komendy. Przez bezpośredni numer

kierunkowy. I mogę podać numer konta w pewnym wiedeńskim banku.

Davček siada. Pot aż z niego bucha.

Przed egzekucją każdy się pocił. Byli tacy, którzy wrzeszczeli. Byli tacy, którzy milczeli. Ale wszyscy się pocili.

— Ja również mogę podać jedno nazwisko.

Jovan Kiss wyczuwa w głosie Davčeka hardość.

Natychmiast uderza. Z pozycji leżącej, na odlew, w szyję.

Davček wali się. Kajuta ciemnieje mu w oczach.

— Nie można wykluczyć, że któregoś ranka znajdą pana w jakimi wiedeńskim zaułku — słyszy głos Jovana Kissa. — Z poderżniętym gardłem.

Milan Davček wyrósł w półświatku. Jego ojciec był najslawniejszym kieszonkowcem Belgradu.

Całe życie spędził wśród przestępców.

Nigdy się nie bał.

Teraz się boi.

— Niech się pan rozejrzy — mówi Jovan Kiss.

Kiss wychodzi z koi. Nalewa sobie szklaneczką białego rumu.

Świta.

Zakotwiczyli dziesięć metrów od brzegu. Kiss starannie wybrał to miejsce. Z brzegu nie można zbliżyć się do nich ze względu na gęste zarośla, a statki też nie płyną nocą tym wąskim ramieniem Dunaju.

To żadne alibi. Ale też nikt nie może udowodnić, że ich tu nie było. Jeśli w ogóle znajdą jakiegokolwiek ślady.

Jovan Kiss jest przekonany, że to niemożliwe.

Choć dobrze wie, że nie ma rzeczy niemożliwych.

— Spędziliśmy tu noc. Łowiliśmy ryby. Nie brały. Przed świtem przespaliśmy się kilka godzin.

Davček rozgląda się. Orientuje okolicę topograficznie.

Boi się.

Jovan Kiss przez wiele lat ścigał ludzi

Ścigali i jego.

Od kilku lat tylko jego ścigają.

Czuje, że starzeje się.

Wróci. Nie potrafi już żyć poza niebezpieczeństwem.

Nie może pozwolić, aby istniał choć jeden człowiek, który mógłby udowodnić, że on zabijał.

Jovan Kiss nie chce zginąć na szubienicy. Ani umrzeć w więzieniu.

W łóżku też nie chce umierać. W zimnym, białym szpitalnym łóżku. Wśród wysterylizowanych ścian.

Rodzina. Żona, dzieci. Wtedy mogły umrzeć w domu. Gdyby był ktoś, kto towarzyszyłby mu, kto odprowadziłby go aż do samej śmierci.

Coraz częściej myśli o śmierci.

Kiedy codziennie spotykał się z nią w cztery oczy, nie interesowała go. To właśnie uprzytamnia mu, że starzeje się. On sam zdecyduje, kiedy i jak umrze.

Gdy zamykał źrenice Danila, zdał sobie sprawę, że istnieje dobra i zła śmierć. Odłamek skalny wbił się Danilowi w skroń.

Śmierć w ułamku sekundy.

Wieszanie też trwa ułamek sekundy.

Danilo poległ w boju.

Jovan Kiss przesypia całe popołudnie.

Budzi się o osiemnastej, otępiały, oszołomiony. Nalewa sobie szlaneczkę rumu. Kładzie się znowu na koi, wypala papierosa.

Goli się, bierze prysznic w przystani. Z biura kierownika przystani zamawia taksówkę.

Zona kierownika przystani parzy mu kawę. Lśnią wielkie, złote kółka kolczyków, Kiss całuje ją w rękę.

Taksówka przyjeżdża o ósmej.

— Do dobrego lokalu — mówi Jovan Kiss.

— Oczywiście!

Kierowca nie pędzi na złamanie karku. Prowadzi spokojnie, rytmicznie. Drogę wytyczają topole.

— Lokal jest czynny do drugiej w nocy. Pierwszorzędny program

Kiss rozpięra się na siedzeniu. Jest zmęczony.

— Znam pewną panienkę — mówi taksówkarz. — Pierwsza klasa. Z przyjemnością ją przedstawię.

Kiss pomija milczeniem tę propozycję.

W lokalu klimatyzacja i półmrok.

Szef sali prowadzi Jovana Kissa do stolika w kącie. W zamian za sto forintów wsuniętych do kieszeni.

Z tego miejsca widać całą salę. Parkiet do tańca.

I estradę.

Kiss zamawia campari z lodem i wodą sodową.

Program jeszcze się nie zaczął. Orkiestra gra dyskretnie. Perkusista podrzuca pałeczki w górę. Gra solo.

Dostaje oklaski.

Oczy Jovana Kissa szybko przyzwyczajają się do półmroku.

Przy stoliku obok podtatusiały pan w średnim wieku, w górnej kieszonce doskonale skrojonego garnituru biała chusteczka. Na prawo od niego starzejąca się kobieta ze sznurem pereł na szyi. Dwóch chłopców w džinsach. Rozmawiają o czekającej ich nazajutrz wycieczce na pusztę, do Hortobágy. Po niemiecku.

Za nimi platynowa blondynka. Sama przy okrągłym stoliku. W palcach o pola kierowanych paznokciach długa cygarniczka z kości słoniowej.

Lokal nie jest przepelniony.

Szef sali przyprowadza do pobliskiego stolika młodą parę. Dziewczyna ma na sobie białą sukienkę z głębokim dekoltem. Sukienka ledwo przykrywa jej uda. Chłopiec jest w białej koszuli i białych spodniach.

Jovan Kiss uśmiecha się.

On też włożył białą koszulę i białe spodnie.

Powściągliwie skłania się przed dziewczyną.

Chce tańczyć, bawić się.

Dziewczyna w białej sukience uśmiecha się do niego. Wypija jeszcze łyk swego trunku, zanim podnosi się z miejsca.

Ubrany na biało chłopiec też się uśmiecha.

— Pani jest piękna — mówi Jovan Kiss.

Orkiestra gra w wolnym tempie, sentymentalnie.

Kiss jest senny.

— A pan jest miły. Albo uprzejmy.

— Proszę się zdecydować. Miły czy uprzejmy?

— Jeszcze nie wiem.

— Szkoda.

Teraz należałoby okręcić dziewczynę. Albo przycisnąć ją do siebie.

Jovan Kiss utrzymuje w tańcu dystans.

— Szkoda — powtarza. — Wydawało mi się, że jestem dla pani po prostu miły.

— Mnie miły czy dla mnie miły? Bo to nie wszystko jedno. Zmęczenie mija.

— Tej subtelnej różnicy musi mnie pani nauczyć. Nie znam do tego stopnia waszego języka. Nie jestem Węgrem.

Dziewczyna dziwi się. Oczy ma brązowe, włosy również.

— Jestem Serbem. Dokładnie: w połowie Chorwatem, w połowie Węgrem, w połowie Szwabem.

— A ja w połowie Węgierką, w połowie Żydówką, w połowie Austriaczką.

Śmieją się.

Jovan Kiss śmieje się z przyjemnością.

Perkusista znów podrzuca pałeczki. W widoczny sposób jest dumny ze swych umiejętności. Uderza w talerze. Orkiestra gra rock and rolla.

Jovan Kiss zatrzymuje się.

— Do tego jestem już za stary.

Dziewczyna w białej sukni śmieje się.

— Pan mógłby przerokendrolować cały równik.

— Niewykluczone, ale nie chce mi się.

— To dlaczego nie mówi pan tak od razu?

Kiss odprowadza dziewczynę do jej stolika.

— Mój brat — mówi dziewczyna w białej sukni.

Jovan Kiss kłania się, sztywno, niczym kelner.

— Czy wyście się umówili, że jesteście tak jednakowo ubrani? — śmieje się dziewczyna.

— Siadaj! — uśmiecha się chłopiec. — Oczywiście, jeśli

masz ochotę.

— Popelniasz nietakt wobec siostry — mówi Jovan Kiss.

— Pan jednak jest bardziej miły niż uprzejmy — odpowiada dziewczyna.

Orkiestra gra głośno, ogłuszająco.

— Nie wiadomo, czy Joco jest moim starszym czy też młodszym bratem. Lekarz twierdzi, że urodził się o dwadzieścia minut wcześniej niż ja. A matka nie pamięta dokładnie tego momentu.

Jovan Kiss zamawia jeszcze jedno campari. Ubrane w biel bliźniaki piją wino.

Na scenę wyskakują sześć tancerek. Orkiestra gra tusz. Dziewczyny w miarę równo podnoszą do góry nogi.

Tusz. Prestidigitator we fraku wiąże w węzeł kolorowe jedwabne chustki. Jedno szarpnięcie i chustki rozlatują się po całej scenie. Następnie z cylindra zostaje wyczarowany biały królik. Iluzjonista sadza go sobie na ramieniu niczym papugę.

Tusz.

Czarnemu pudlowi wiruje na nosie piłka w kolorowe grochy. Znów tancerki. Teraz w srebrnych błyskotkach.

Marija również tańczyła w srebrnych błyskotkach. W czterdziestym trzecim roku w jednym z belgradzkich lokali.

Jovan Kiss nigdy nie oglądał tańca Mariji. Poznał ją w lesie. W bunkrze komendanta.

Przez trzy dni była kochanką Kissa. Drzewa wirowały wokół. Topniały z miłości. Niebo nawet w dzień skrzyło się gwiazdami.

Potem Marija wróciła do Belgradu. Do lokalu, w którym występowała.

W dwa tygodnie później aresztowało ją gestapo. Nigdy więcej jej nie zobaczono.

Jovan Kiss dowiedział się o tym dopiero po wojnie.

Kiss wypija piątą szklaneczkę campari. Już nie jest zmęczony.

— Czy macie ochotę przejechać się motorówką?

Już jest na ty również i z dziewczyną.

Rachunek reguluje Kiss. Za taksówkę płaci chłopiec w białym stroju.

— Coś pięknego — mówi dziewczyna. — Czy ta rzeczywiście twoja łódź?

Kiss otwiera wejście do kajuty. Włącza światła. Przyrządza napój.

— Czegóż takiego jeszcze nie widziałem — mówi chłopiec.

Bliźniaki rozsiadają się na tylnym siedzeniu trzymając w rękach szklaneczki, w których dźwięczą kostki lodu.

Kiss powoli odbija na wstecznym biegu od pomostu. Potem nagle dodaje gazu. „Jastrząb” skacze do przodu.

Dziewczyna w białej sukience śmieje się.

Łódź prześlizguje się pod mostem Małgorzaty. Na prawo iluminowany nocą Zamek Królewski. Na lewo, na kopule Parlamentu, pięcioramienna, czerwona gwiazda. Błyszczący pasek mostu Łańcuchowego.

Dziewczyna obejmuje ramię Kissa. Stoi z tyłu za nim

— Jesteś czarodziejem, przyznaj się.

Kiss rzuca okiem na oświetloną tablicę rozdzielczą.

— Zgadza się.

Całuje dłoń dziewczyny.

Siwowłosa kobieta jeszcze kilka godzin temu wyprężyła się w agonii pod jego ręką.

Jovan Kiss nie chce odpędzać wspomnień. Trzeba tych wspomnieniami.

— Jestem czarodziejem — odpowiada Jovan Kiss.

Major Szöveges opada na fotel dyrektora muzeum. Jest bardzo gorąco.

Koszula przepociła się na plecach majora.

Lekarz i technicy skończyli już pracę. Zabrano zwłoki.

Major Szöveges nie wiąże żadnych nadziei z odciskami palców. Psy nie złapały tropu. Ofiary były fachowo związane. Każda z nich została zamordowana jednym, precyzyjnym pchnięciem noża. Zdemontowano urządzenia alarmowe.

Pracowali tu zawodowcy. A zawodowcy nie zostawiają odcisków palców.

— Żeby tylko wiedział, dlaczego ich zabito?

Podporucznik Gáli nie odpowiada. On również nie zna odpowiedzi.

Major Szöveges zawsze szuka tego, co w sprawie jest niezrozumiałe. Ponieważ to, co niezrozumiałe, jest wynikiem błędu.

Okradają muzeum. Wiążą kustosza i jego żonę. Kneblują im usta.

To wszystko logiczne.

Ale dlaczego popełniono morderstwo?

To już niezrozumiałe.

Szöveges podejrzewa, że jedyną nadzieją na rozwiązanie zagadki może być popełniony przez sprawców błąd

— Może coś zobaczyli? — ryzykuje porucznik Gáli. Porucznik ma trzydzieści jeden lat. Jest tak bardzo śniady i czarnowłosy, że wielu uważa go za Cygana. Nie jest Cyganem. Jego ojciec jest filozofem.

Major Szöveges kręci głową.

Ci ludzie nie mogli pracować w taki sposób, żeby dwoje starsuszków potrafiło cokolwiek dostrzec.

Mojar Szöveges ma pięćdziesiąt cztery lata. Nie byłby w stanie odpowiedzieć, ile już wykrył morderstw.

Teraz czuje się jednak bezradny. Pojęcia nie ma, kogo i gdzie szukać.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa sprawca nie był sam. To prawie pewne.

Zaczynajcie jeszcze raz wszystkie rutynowe czynności — od początku, mawiał w takich sytuacjach kierownik grupy operacyjnej. Jeśli będzie to potrzebne, powtarzajcie je po raz piąty, dziesiąty. Szöveges był wtedy początkującym funkcjonariuszem.

Major Szöveges waży sześćdziesiąt jeden kilogramów. Jasne, rzadkie włosy jeszcze nie zaczęły mu siwieć. Wypala dziennie pięćdziesiąt papierosów. Czasami więcej.

Nim skończą prowadzone od nowa czynności, upłynie znów trochę czasu, może w trakcie tych zajęć zajdzie coś nowego.

Major Szöveges tym razem nie wierzy, że upływający czas przyniesie coś korzystnego dla śledztwa. Sam nie wie, skąd to

przekonanie.

— Kto czeka na przesłuchanie?

— Dyrektor muzeum oraz rzeczoznawca z Budapesztu, którego polecił sprowadzić towarzysz major. I jeszcze strażnik jednej z sal. Mówi, że coś widział.

— Ile ten strażnik ma lat?

— Koło siedemdziesiątki.

Major ociera spocone czoło.

Jeśli na ulicy samochód kogoś przejedzie, to dziesięciu świadków przedstawi dziesięć różnych relacji.

A tu stary człowiek, który twierdzi, że kogoś widział.

— Poproście muzealników.

Dyrektor muzeum jest szczupłym, młodym człowiekiem. Nosi okulary o co najmniej czterech dioptriach. Niepewnie porusza się na tym padole.

Ukończył studia sześć lat temu.

Przeprasza, że załamuje mu się głos. To on pierwszy zobaczył zwłoki.

Rzeczoznawca ze stolicy, mimo upału, jest w marynarce i krawacie. Nie widział ofiar.

Major Szöveges pyta o wartość zrabowanych rzeźb.

Dyrektor z rozpaczą rozkłada ręce. Jest archeologiem, a nie historykiem sztuki. Pojęcia nie ma o wartości skradzionych zbiorów.

Rzeczoznawca poprawia krawat. Czuje ciężącą na nim w tej sytuacji odpowiedzialność. Chrząka.

— Brałem udział w zestawianiu przeznaczonych na wystawę eksponatów. Z tego względu w jakiejś mierze znam te dzieła sztuki. Oczywiście muszę się skonsultować z moimi kolegami. Jestem znawcą egipskich terakot.

— To niech pan przynajmniej o nich coś powie.

— Sądzę, że nie popełnię większego błędu, jeśli uogólnię. Oczywiście, będę musiał później sprawdzić moje stwierdzenia.

Kaszle.

— Dla tej ekspozycji charakterystyczny był fakt, że żaden z pojedynczych egzemplarzy nie przedstawiał szczególnej

wartości. Na przykład z terakot znane jest kilka tysięcy sztuk. Niełatwo rozróżnić poszczególne egzemplarze. To nie Mona Lisa czy Rembrandty. Stosując współczesne pojęcia, jest to raczej rzemiosło artystyczne. Choć w istocie nie jest nim. Myślę, że takie stwierdzenie w równej mierze odnosi się również do zbiorów indyjskich, birmańskich, meksykańskich, które były tu eksponowane. Oczywiście, mówię to bez odpowiedzialności.

— To znaczy, że spieniężenie tych przedmiotów jest znacznie prostsze niż jakiegokolwiek notowanego w międzynarodowej skali obrazu...

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa tak.

Milicjant w stopniu sierżanta przekazuje majorowi pisany na maszynie raport.

Od świtu opuściło granice Węgier ponad sześciuset zagranicznych obywateli. Wykaz w załączeniu.

Major Szöveges wie, że zrabowane dzieła ważą co najmniej czterdzieści kilogramów. Trudno sobie wyobrazić, żeby usiłowano wywieźć je samolotem lub pociągiem. Również i samochodem byłoby to ryzykowne.

— Jakiego rzędu wartość zdaniem panów może przedstawiać skradziony zbiór?

Szöveges celowo używa liczby mnogiej. Zdaje sobie sprawę, że dyrektor nie ma o tym pojęcia. Żał mu go. Przypomina bowiem sobie tę chwilę, kiedy i on po raz pierwszy zobaczył zamordowanego człowieka.

Rzeczoznawca znów poprawia krawat.

— Określenie jakiegokolwiek wartości byłoby z mojej strony czymś nieodpowiedzialnym. Już mówiłem, że znam się tylko na egipskiej terakocie.

— A zatem?

Rzeczoznawca chrząka. Jakby był zaproszonym na uniwersytet wykładowcą.

— Proszę pana. Wartość tych przedmiotów jest raczej teoretyczna. Rzadko trafiają na rynek. Znajdują się w muzeach lub w powszechnie znanych prywatnych kolekcjach.

Koszula majora Szövegesa jest już całkowicie przepocona.

Sprawa wydaje się coraz bardziej beznadziejna.

Wolałby w tej chwili nie mieć do czynienia za specjalistą. A przecież on również jest specjalisty. I potrzebni mu są specjaliści.

— Niech pan wymieni jakąś kwotę, w przybliżeniu.

— Z reguły otrzymujemy katalogi licytacyjne. Dwadzieścia jeden egipskich figurek. Cóż mogę powiedzieć? Wszystko, co powiem, będzie niemiarodajne.

To niech pan wypowiada się niemiarodajnie, przemyka majorowi przez myśl.

— Niech pan jednak określi sumę.

— Może cztery miliony. Ale bez najmniejszej gwarancji

— A pozostałe posążki?

— Konieczne są tu opinie rzeczoznawców. Nie mam prawa wypowiadać się w imieniu kolegów.

— Wypożyczyliśmy zbiory z ośmiu muzeów — mówi z rozpaczą dyrektor. — Nigdy mi tego nie wybaczą.

Major Szöveges nie pyta, kto nie wybaczy dyrektorowi.

Dyrektor przeklina chwilę, kiedy wpadł na pomysł urządzenia tej wystawy. Nikt nie wie, że w jednym z angielskich czasopism przeczytał tytuł: MAŁE POSĄGI Z WIELKIEGO ŚWIATA

Jest bardzo gorąco.

— Niech pan posłucha — mówi major Szöveges. — To nie licytacja ani wycena dzieł sztuki. Mamy da czynienia z morderstwem i rabunkiem. Przynajmniej z grubsza muszę znać wartość skradzionych przedmiotów.

Rzeczoznawca czuje, że on tu jest najważniejszą osobą.

— Jeszcze raz podkreślam, że bez żadnej odpowiedzialności...

Przerywa.

Major Szöveges czeka.

Rzeczoznawca wcale się nie poci.

— Może około trzydziestu milionów.

Major Szöveges wzdycha.

— Podkreślam, że jest to wartość teoretyczna. Nie mam pojęcia, jaką cenę mogą te przedmioty osiągnąć pokątnie.

— Zamordowano dwoje ludzi — mów dyrektor. Wylamuje palce. — Dwoje ludzi. Czy towarzysz major to rozumie?

Dyrektor poci się tak samo jak Szöveges.

— Strażnik — mówi porucznik Gali.

Muzeologowie już wyszli.

— Niech go pan przyśle.

Ma około siedemdziesiątki, niski, krępy. Zaczesane na bok, rzadkie, siwiejące włosy, sumiasty wąs.

Wygląda na spokojnego.

— Co pragnie nam pan powiedzieć? — pyta major Szöveges.

— Nie będziecie protokółować?

— Na razie nie. Tylko tak sobie rozmawiamy.

— Niesłusznie — mówi strażnik. — To co powiem, należy zaprotokółować.

— Jeszcze zdążymy.

Major Szöveges czuje się zmęczony. Jest bardzo gorąco.

— W dniu poprzedzającym morderstwo w muzeum było dwóch ludzi, którzy zachowywali się w sposób rzucający się w oczy. Moim zdaniem ich właśnie można podejrzewać o popełnienie tego przestępstwa...

Major Szöveges opiera się na wygodnym fotelu dyrektora. Spotkał już w swoim życiu dostateczną ilość świadków, którym wydawało się, że znają klucz do zagadki.

Bywało, że rzeczywiście znali.

Bardzo rzadko jednak.

— Pełnię tu dyżur od dziesiątej rano do drugiej po południu. Pracuję jako emeryt. Od drugiej do szóstej wieczorem dyżuruje mój kolega Gócze. Również jest emerytem...

— Czy mogę zapalić? — pyta strażnik.

Szöveges z roztargnieniem wyraża zgodę skinieniem głowy. Coś uderzyło go w tonie świadka.

— Dwóch podejrzanych przybyło punktualnie o jedenastej.

Major z uwagą śledzi teraz sposób wyrażania się strażnika.

— Jeden z nich wydał mi się od razu podejrzany, gdyż

nawet nie spojrzął na gabloty. Badał wzrokiem ściany, drzwi, okna.

Major Szöveges czeka.

— Istotą sztuk plastycznych, proszę pana, jest kształt i kolor. Drugi podejrzany osobnik nosił okulary słoneczne. Zasłonił sobie nimi pół twarzy. Ciemnymi szklami.

Widać, że te okulary słoneczne oburzyły strażnika.

— Czy mógłby pan opisać tych ludzi?

— Naturalnie. Jeden z nich był krępy, łysiejący, około pięćdziesiątki. Brązowe sandały, beżowe spodnie z kamgarneu, biała koszula ze sztucznego tworzywa. Złoty ząb w lewej połowie górnej szczęki.

Major Szöveges już nie jest zmęczony.

— Ten w okularach miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, wysportowany, w farmerach, czarne, lekko szpakowate włosy, tenisówki, jasnoniebieski golf, charakterystyczny orli nos.

Major Szöveges sięga po słuchawkę. Łączy się z Komendą Stołeczną.

— Przyślijcie tu portrecistę. Na sygnale!

— Pan wszystkich tak uważnie obserwuje? — pyta strażnika.

— Oczywiście To mój obowiązek.

Major Szöveges przytakuje. Tak, to obowiązek.

— Za to mi płacą — mówi strażnik.

Za to mu płacą, stwierdza w myślach Szöveges.

— No i człowiek musi w jakiś sposób zabić czas.

— Gdzie pan pracował przed pójściem na emeryturę?

— Byłem strażnikiem przemysłowym, w gazowni miejskiej.

— A przedtem?

— Kierowcą. Tamże. A do czterdziestego siódmego roku pracowałem jako inspektor śledczy w Komendzie Stołecznej.

Strażnik o sumiastym wąsie jest spokojny.

— Zajmowałem się wyłącznie kryminalistami. Politycznymi nigdy. Ale mnie też wzięli na listę do zwolnienia.

Jest bardzo gorąco.

Major Szöveges zdaje sobie sprawę, że lepiej będzie nie wdawać się teraz w analizowanie historycznych zawłości.

— Od kiedy pracuje pan w muzeum?

— Od ośmiu lat. Jako emeryt. Ale tu, jak dotąd, nigdy nic się nie wydarzyło.

Majora Szövegesa swego czasu, przed wojną, dwukrotnie zabierali na stołeczną komendę policji. Był wtedy czeladnikiem drukarskim. Tak go stłukli, że przez kilka miesięcy się jękał.

Teraz jednak wcale nie żałuje, że oto spotkał się z byłym inspektorem śledczym tamtej policji.

Jovan Kiss zakomunikował Milanowi Davčekowi, aby codziennie od czwartej do piątej po południu czekał na niego na kąpielisku Palatínus. Gdyby była zła pogoda, to w Grand Hotelu.

Pierwszego dnia Kiss nie idzie jednak na Wyspę Małgorzaty.

Zdaje sobie sprawę, że Davček w każdej chwili może wyjechać. Ma przecież w kieszeni paszport.

Ale Kiss dobrze wie, że Davček się go boi.

Najgorsze jest czekanie. Kiss jest zdyscyplinowany. Niemniej denerwuje się.

Rano przez pół godziny biega, potem bierze prysznic, wypływa swoim „Jastrzębiem” z miasta, zarzuca wędki, dużo pływa, godzinami leży nieruchomo na słońcu.

Gdy wraca na przystań, ogarnia go znowu nerwowe podniecenie.

Kupuje gazety. O morderstwie rabunkowym w Szentendre — ani słowa.

Jovan Kiss nagle wyobraża sobie, że zwłoki obu ofiar dalej leżą w podwójnym, brązowym łożu.

Następnego dnia wyjmuje materace i wraz z pościelą wynosi na słońce. Starannie czyści silnik. Przeciera narzędzia naoliwionymi pakułami. Przez półtorej godziny studiuje mapę Dunaju.

Zmierzcha. Nalewa sobie podwójną, małą porcję rumu do szklaneczki. Wygodnie opiera się na obitym zielonym skajem siedzeniu.

Tuż obok pomostu przepływa hamburka. Dwóch chłopców wiosłuje, dziewczyna przy sterze. W dziobie łodzi w nylonowym worku ich rzeczy.

Na środku Dunaju łomocze radziecki holownik. Pcha przed sobą cztery barki. Fale kołyszą „Jastrzębiem”.

Po siódmej dziewczyna w bieli wkracza na pomost

Kiss obiecał, że zatelefonuje do niej.

Nie zrobił tego.

Wypił już jednak szklaneczkę swego trunku. Zdenierwowanie ustępuje. Zdaje sobie sprawę, że jedynie pod wpływem alkoholu.

— Cześć — mówi dziewczyna.

— Cześć — odpowiada Kiss.

Wzdłuż brzegu stoją rzędem topole.

— Nie przeszkadzam?

Dziewczyna stoi na pomoście. Kiss tkwi nieruchomo-

— Jestem na najlepszej drodze, żeby się zalać.

— Samotnie?

Nim wyruszą, Kiss miksuje jeszcze jedną porcję napoju.

Tak gwałtownie przesuwają drążki gazu, że dziób „Jastrzębia” z miejsca staje dęba.

Dziewczyna śmieje się. Szklanekę trzyma w dłoni.

Kiss nagle skręca kierownicą. Zderza się z falą pozostawioną przez własną motorówkę.

„Jastrząb” wyskakuje na powierzchnię i opada znowu.

Raz za razem podnosi się i opada.

Trunek oblewa białą sukienkę dziewczyny.

Dziś również jest ubrana na białą.

— Boskie! — cieszy się dziewczyna.

W dzieciństwie Jovan Kiss marzył o zwykłym czólnie. Potem wybuchła wojna.

Kiss przyrządza nowy koktajl.

Noc jest gwiazdzista. Biała sukienka dziewczyny świeci w ciemnościach. Księżyc właśnie wschodzi.

— Nigdy już się nie wyjaśni, kto zabił mego ojca.

Dziewczyna w bieli dygocze, przenika ją dreszcz.

Jest ciepły wieczór.

— Prosiłem, żeby powierzyli mi tą sprawę. Byłem wtedy porucznikiem. W wydziale kryminalnym, a nie politycznym. Odmówili.

Kiss czuje, że alkohol uderzył mu do głowy. Dlaczego o tym mówi?

Dunaj jest ciemny.

— Napijesz się jeszcze?

Dziewczyna śmieje się.

— Upiję się.

Jovan Kiss uśmiecha się.

— Ten wieczór idealnie nadaje się do tego, żebyśmy się upili.

— To nalej.

Kostki lodu pobrzękują w szklankach.

— Nie pozwolono mi zająć się wykryciem morderców mego ojca.

Jovan Kiss rzuca swoją szklankę w wodę.

Ta dziewczyna może jeszcze nigdy nie spotkała się ze śmiercią.

— Niemcy złapali Stojana w grudniu. Nie mogłem nic zrobić. Byłem pod ostrzałem dwóch karabinów maszynowych.

Świst kul. Wilgoć opadłych liści, w które wtulał twarz.

— Byliśmy we dwójkę przeciw całemu plutonowi. Wpadliśmy w pułapkę.

Skąd ta dziewczyna w bieli może wiedzieć, co to jest pluton?

— Stojana znalazł stary chłop. Wycięli mu na piersiach pięcioramienną gwiazdę. Wybili wszystkie zęby. Zmiażdżyli jądra.

— Zamilcz — błaga dziewczyna.

— W trzy dni później złapaliśmy dwóch Fryców.

Jeden z nich jęczał. Że niby jest socjaldemokratą..

Czy ta dziewczyna wie, co to znaczy socjaldemokrata?

— Wykułem mu oczy. Nożem.

— Zamilcz!

Dziewczyna w białej sukience dopada burty. Wymiotuje. Jovan Kiss zatrzymuje silniki. Zwilża jeden z ręczników. Ociera twarz dziewczyny.

Miksuje napój.

Kiss już wytrzeźwiał.

Dziewczyna z obrzydzeniem odsuwa od siebie szklanę.

Kiss uderza ją w twarz. Luźną, otwartą dłonią, żeby nie bolało.

— Wypij, to cię postawi na nogi.

Dziewczyna wypija. Ma szklane oczy.

Jovan Kiss lekko bierze dziewczynę w ramiona. Znosi ją do kajuty. Ściąga zamek błyskawiczny na plecach. Zdejmuje z niej pomietą, białą sukienkę. Dziewczyna śpi. Kiss przykrywa ją.

Zrzuca z siebie ubranie. Noc jest ciepła. Zakotwicza łódź koło brzegu. Skacze na głowę do Dunaju. Prąd rzeki jest silny. Z trudem wraca do „Jastrzębia” Wyciera się. Bierze nasenną pigułkę. Wsuwa się do koi, kładzie obok dziewczyny.

Nie czuje jej ciała, jakby go nie było.

Natychmiast zasypia.

— Jednym z nich jest Milan Davček — melduje porucznik Gáli. — Lat pięćdziesiąt dwa, obywatel Jugosławii, mieszkaniec Belgradu. Mieszka w hotelu „Béke”.

— Czy to na pewno on?

— Z całą pewnością. Portier rozpoznał go natychmiast na podstawie portretu opisowego. Potem z ukrycia pokazaliśmy tego faceta strażnikowi. Przysięgnie na konfrontacji, że widział go w muzeum.

— Rozmawialiście z Belgradem?

— Podaliśmy dane. Obiecali, że za godziną się zgłoszą.

Wentylator chłodzi powietrze w gabinecie. Jest gorąco. Biurko, komplet foteli, kasa pancerna. Na ścianie obraz olejny przedstawiający Balaton. Major Szöveges lubi

malarstwo.

— Co robi ten Davček?

— To samo, co wszyscy turyści. Łazi po mieście, fotografuje, bywa na kąpielisku.

— Ilu ludzi nastawił pan na niego?

— Trzech i jeden samochód.

— Proszę podwoić!

Za dwadzieścia minut zgłasza się telefonicznie Belgrad.

— Mówię w imieniu podpułkownika Vuketicia — mówi ktoś po węgiersku. — Milan Davček był trzykrotnie skazywany za włamania. Od lat nie ma jednak w stosunku do niego żadnych podejrzeń.

— Profesjonalista?

— Zawsze podejrzewano go o wielkie sprawy. Nawet wtedy kiedy nie udało się ich mu udowodnić. Jest specjalistą od rozwiązywania najbardziej skomplikowanych szczegółów technicznych.

Włamanie do muzeum w Szentendre nie wymagało większych umiejętności technicznych.

— Nigdy nie brał udziału w takich przestępstwach, w których dochodziło do użycia siły i gwałtu.

W muzeum zamordowano dwoje ludzi. Kryminalista powyżej pięćdziesiątki nie zmienia na ogół swoich zwyczajów. A na pewno w mniejszej mierze niż po- zostali ludzie.

Taki to już zawód.

Majora Szövegesa nie peszy jednak w tej chwili to, że wiele elementów nie pasuje do siebie. Wszystko złoży się w swoim czasie we właściwy obraz. Gdyby nie strażnik sali ciągle błędziliby po omacku, nie mieliby żadnego śladu.

— A drugi?

— Nie znamy nikogo, kto odpowiadałby dostarczonemu przez was opisowi. Badamy jeszcze sprawę.

Nie jest to do końca prawdą.

Podpułkownik Vuketić zna człowieka, który pasuje do przekazanego rysopisu. Dobrze go zna. Jovan Kiss był jego podkomendnym.

Wie również, że Jovan Kiss jest na Węgrzech. To on,

Vuketić, dał polecenie, aby przeszukać łódź Kissa.

Podpułkownik Vuketić już cztery lata temu zarządził obserwowanie Jovana Kissa. Bez rezultatów, jak dotąd.

Dochodzi do wniosku, że na razie nie należy o tym informować Węgrów.

— Dwa samochody to za mało! — mówi major Szöveges do porucznika Gáli.

— Trzy wozy! I wśród obserwatorów niech będą również kobiety.

Jovan Kiss dopiero na trzeci dzień idzie na plażę „Palatínus”.

Upały nie maleją. Kąpielisko przepełnione. Powietrze drga wśród liści drzew.

Wita się z Davčkiem niczym ze starym znajomym. Rozkłada obok niego swój płaszcz kąpielowy. Twarz Davčeka lśni od olejku do opalania. Jest bardzo zdenerwowany.

— Mam już tego po uszy. Znikajmy natychmiast, póki nie jest za późno.

— Cicho — mówi Kiss.

Davček nie śmie powiedzieć, że prawdopodobnie jest obserwowany.

Leżą dwadzieścia minut obok siebie na słońcu. Davček dosłownie sływa potem.

Kiss zaprasza Davčeka na coś zimnego do Grand Hotelu.

Natychmiast dostrzega młodego człowieka idącego za nimi po wybetonowanym, obrośniętym krzewami chodniku. Młodzieniec jest w dżinsach, niebieskim golfie, ma w rękę złożoną gazetę.

Dwieście metrów za kąpieliskiem Jovan Kiss zatrzymuje się nagle.

— Niech pan spojrzy, cóż to za wspaniałe platan! Davček nie rozumie, dlaczego Kiss interesuje się nagle platanami.

— W Nowym Sadzie nad Dunaj wiodła wysadzana platanami aleja. W czasie wojny wycięto ją. Nie było czym palić.

Kiss widzi, że młody człowiek też się zatrzymał. Gazetą uderza się po udach. Rozgląda się.

Nie jest najsprytniejszy, stwierdza w myślach Kiss.

— Pan zawsze myśli o wojnie — mówi Davček. Kiss potakuje.

Rzeczywiście. Zawsze.

Przy skrzyżowaniu z następną alejką młodzieniec skręca w bok. Zza krzewów wychodzi kobieta w średnim wieku w przeciwsłonecznych okularach.

Po dwustu metrach Kiss znów zatrzymuje się. Szuka papierosów w swoim żeglarskim worku. Trwa to dość długo, nim je znajdzie.

Kobieta w ciemnych szklach też się zatrzymuje. Grzebie w torebce.

Teraz już całkiem pewne, że są śledzeni.

Napinają mu się wszystkie mięśnie.

Przy Grand Hotelu kobieta w okularach gdzieś znika. Pojawia się przysadzisty, gruba wy mężczyzna. Z aparatem fotograficznym na szyi.

Kiss wybiera taki stolik, aby grubas nie mógł znaleźć się w pobliżu.

Kiss nie jest w stanie odgadnąć, w którym momencie popełnili błąd.

Jest pewien jednego: to nie jego śledzą.

A zatem Davčeka

Ktoś musiał podać ich rysopis. W miarę dokładny. I na podstawie rysopisu odnaleziono mieszkającego w hotelu Davčeka.

Kto ich mógł widzieć? I kiedy?

Tego Kiss nie wie.

Nie jest to przypadkowa, rutynowa obserwacja. Davček był w przeszłości karany. To prawda. Ale obserwuje go zbyt wielu ludzi. I dlaczego teraz?

Kiss zabił, żeby nikt nie mógł podać ich rysopisu. Jovan Kiss jest wściekły. Twarz ma nieruchomą. Porcelanowo niebieskie oczy są zimne. Wie dokładnie, że zupełnie inaczej śledzi się dwukrotnego mordercę, a inaczej zwykłego włamywacza

Jeśli powie to teraz Davčekowi, przerazi łysego. Jeśli nie

powie, ten może popełnić jeszcze jakieś głupstwo.

Lepiej go jednak przestraszyć.

— Cień się do nas przyplątał — mówi obojętnie. Właśnie rozmawiali o tym, o jakiej piórze roku i gdzie biorą karpie.

Davček wytrzeszcza oczy.

— Siedzą pana.

— Czuję to — mówi Davček. Intensywnie poci się.

Jovan Kiss najchętniej udusiłby go w tej chwili. Dlaczego ten idiota natychmiast nie dał mu mać?

— Ja wysiadam — mówi Davček. — Nie wytrzymam dłużej.

— Proszę bardzo — mówi Jovan Kiss. — Niech pan wysiada. Niech pan jedzie do Wiednia. Zobaczymy, dokąd pan dojedzie.

Davček nie może złapać tchu.

— Co robić?

Staje się uległy.

— Niech pan pije kawę. Pomyślę.

Przysadzisty mężczyzna siedzi dziesięć metrów od nich. Nie może słyszeć tego, co mówią.

— Pojedzie pan teraz do domu, spakuje się, zapłaci rachunek, wsiądzie do taksówki i uda się na dworzec Wschodni. I niech pan nie próbuje zgubić cienia. Walizki proszę oddać do przechowalni. Kupi pan bilet na jutrzejszy pośpieszny do Wiednia. Poczem przyjedzie pan do mnie na przystań.

— Podadzą moje dane personalne straży granicznej.

— Ale pan nie pojedzie do Wiednia. I nie będzie pan jeździł żadnym pociągiem.

Kiss zapala papierosa.

— W nocy gładko przeprowimy się „Jastrzębiem” do Jugosławii. A tam postaramy się o właściwe papiery.

Milan Davček jest zdumiony. Podziwia Jovana Kissa.

Oblicze Kissa jest nieruchome jak głaz. Spokojnie pali papierosa.

— Mamy drugiego — mówi major Szöveges tłumaczowi.

W belgradzkiej komendzie wzywają do telefonu podpułkownika Vuketića.

— Jovan Kiss, lat pięćdziesiąt jeden, obywatel jugosłowiański, mieszkaniec Belgradu. Przyjechał do Budapesztu motorówką. I na niej mieszka.

Vuketić długo milczy. Nie może zdecydować się, czy popełnił błąd nie mówiąc poprzednio Węgrom o Jovanie Kissu.

— Proszę powiedzieć towarzyszewi majorowi, że natychmiast wyruszam samochodem. Proszę, żebyście czekali na mnie na granicy.

Tłumacz przekazuje wiadomość.

— Co oni w tej chwili robią? — pyta Vuketić.

— Davček uregulował rachunek w hotelu, oddał swoje bagaże do przechowalni, kupił bilet na pośpieszny do Wiednia. Potem pojechał do Kissa na przystań. Pół godziny temu wypłynęli motorówką.

Vuketić chciałby wyć, teraz już wie, że popełnił błąd.

— Natychmiast ich aresztujcie. Pod byle jakim pretekstem.

— To niemożliwe. Ich łódź jest szybsza niż milicyjne motorówki. Zniknęli.

— Zabije go — mówi podpułkownik Vuketić.

Szöveges milczy Wie, co to bezradność.

Vuketić otwiera szafę pancerną. Wyjmuje dwa pudełka naboju. Chowa je do kieszeni.

— Niech i pan weźmie broń. Z odpowiednią ilością amunicji. I proszę się śpieszyć — mówi Vuketić do kapitana Stoca

Kapitan dziwi się. Jeszcze nie widział, żeby podpułkownik był zdenerwowany.

I Szöveges nie jest spokojny.

— Czy nie ma sposobu, żeby ich złapać? — pyta siedzącego w gabinecie porucznika.

Oficer ten przyszedł do komendy stołecznej z komisariatu

rzecznego.

— Chyba tylko łodzią wyścigową. W dzień helikopterem. A w nocy ewentualnie przy pomocy służby obserwacyjnej.

— W jaki sposób?

— Na każdym brzegu co pięć kilometrów człowiek. Usłyszy huk silnika. Z grubsza będziemy wiedzieli, gdzie się zatrzymają. A wtedy krótkofalówką można powiadomić milicyjne motorówki.

— A jeśli nie zatrzymają się?

Porucznik wzrusza ramionami.

— Proszę zorganizować obserwację — mówi major Szöveges do porucznika Gáli.

— Nie mamy tylu ludzi.

— Rano porozmawiam z szefem.

— Radar? — pyta jeszcze oficera milicji rzecznej.

— Jeśli znajdą się pod osłoną brzegu, radar ich nie wykryje.

Rano będą już tu Jugosłowianie, myśli major Szöveges.

Zabije go, powiedział podpułkownik Vuketić.

Jedynego świadka.

Szöveges zdaje sobie sprawę, że teraz może liczyć tylko na cud.

Nie wierzy jednak w cuda.

Tej nocy nie jest w stanie niczemu przeciwdziałać.

Zdaje sobie z tego sprawę.

Przed popełnieniem przestępstwa nie byli śledzeni Jovan Kiss lakonicznie formułuje myśli, jak w protokóle.

Był przecież oficerem milicji. Bardzo długo.

Zwrócono na nich uwagę w czasie wizji lokalnej albo w trakcie owej nocy.

Kiss klatka po klatce bada zarejestrowany w mózgu film.

W nocy nie natknęli się na nikogo. Może ktoś dostrzegł ich przez okno...

Mało prawdopodobne. Gdyby zauważono ich w nocy, nie dano by tak dokładnego rysopisu, który pozwolił na

zidentyfikowanie Davčeka w ciągu jednego dnia.

Wizja lokalna. Na ulicach było wielu ludzi.

Niemożliwe. Nikt za nimi nie szedł.

W muzeum było zaledwie parę osób.

Jovan Kiss intensywnie myśli.

Przydałaby się teraz szklaneczka alkoholu.

Nie, nie będzie jednak pił.

Jakieś amerykańskie małżeństwo. Chudy młodzieniec, który wyszukiwał w katalogu wszystkie eksponaty. Kobieta z dwojgiem dzieci. Kapryśnych. Małżeństwo w średnim wieku. Mężczyzna gorliwie objaśniał. Należał do tego rodzaju ludzi, którzy o wszystkim wszystko wiedzą.

Jeszcze ktoś?

Kiss zastanawia się.

Nie.

Bilety sprzedawała żona kustosza. Już nie żyje.

Strażnik. Nic nie znaczący starzec. Jakby drzemał.

Czy rzeczywiście drzemał? To zresztą obojętne.

Jovan Kiss wołałby się upewnić.

Nie wie.

Najbardziej prawdopodobny ślad prowadzi w stronę strażnika.

Ale to tylko intuicyjna dedukcja.

Swego czasu Kiss zabijał na podstawie nawet błahszych podejrzeń.

Sto procent pewności!

Co mogą o nich wiedzieć?

W żadnym wypadku nie wiedzą czegoś pewnego. Gdyby wiedzieli, dawno już by ich zatrzymano.

Dwa trupy. W takich sytuacjach żadna policja na świecie nie waha się ani chwili.

Mają rysopisy. Mają i jego rysopis.

Nie mają natomiast dowodów.

Skrzynek nie znajdują. A jeśli nawet, to nie ma na nich odcisków palców. Nie ma również śladów stóp.

Poszlaki nie są dowodami

Nawet najpewniejsze poszlaki

Davček

Istnieje jeden jedyny dowód.

Milan Davček przyjeżdża o zmierzchu. Jovan Kiss nie widzi poza nim nikogo na brzegu.

Zdaje sobie sprawę, że to nic nie znaczy. Mogą ich obserwować z każdego stojącego nad brzegiem domu.

— Śledzili pana?

— Chyba tak Trzykrotnie zmieniali się na trasie.

Ogromna obstawa, myśli Kiss.

Nie dziwi się.

Milicja nie interesuje go teraz.

Zapala silniki Odwiązuje cumy.

W ślad za nimi płyną dwie motorówki. Bez świateł pozycyjnych Jovan Kiss uśmiecha się.

I on również nie zapala świateł.

W ciągu dwudziestu minut gubi płynące za nim łodzie. Nie słyhać już nawet szumu milicyjnych motorów.

Milan Davček poci się.

Jovan Kiss nie widzi tego. Czuje. Tkwi za kierownicą Gaz do dechy. Teraz jest już cicho. Tylko woda szemrze

— Napije się pan czegoś?

Milanowi Davčekowi wyschły wargi. Sucho mu w ustach.

Po stokroć przeklął ten dzień, kiedy Jovan Kiss usiadł koło niego w belgradzkiej kawiarni.

— Bez alkoholu.

— Niech pan przejmie ster.

Jovan Kiss podnosi się z krzeselka przy kierownicy.

— Kierunek na pulsujące zielone światło. I niech pan nie pęka. Rano będziemy w domu.

Davček cieszy się.

Wsuwa się za kierownicę. Chwyta ją w dłonie.

Jovan Kiss z tyłu obejmuje go za szyję. Przegub na gardle Davčeka. Przyciska mu tchawicę.

Kłuje. Ciało Davčeka szarpie się w konwulsji.

Po chwili sztywnieje.

Głowa opada na kierownicę.

Jovan Kiss zatrzymuje silniki.

Nie wyciąga noża z serca Davčeka...

Wyjmuje z szuflady tampon.

Ostrożnie wyciąga nóż z pleców. W ranę wciska tampon.
Zębami rwie plaster.

Nie chce śladów krwi w łodzi.

Rozbiera Davčeka. Łódź dryfuje z prądem. Jovan Kiss
zrzuca z siebie ubranie, buty.

Nowy worek z plastiku. Wkłada ubranie Davčeka. Zawiązuje
worek. Dziurawi go. Obciąża sześciokilo- gramową ołowianą
rurą.

Z luku silnikowego wyjmuje dużą kotwicę.

Dwadzieścia pięć kilogramów.

Sześciomilimetrową linką z perlonu przywiązuje kotwicę
do obnażonego ciała Davčeka.

Uruchamia silniki.

Na środku Dunaju wrzuca do wody worek. Nurt jest tu
wartki.

Z wysiłkiem podnosi ciało Davčeka razem z kotwicą.

Dawniej lekko brał cetnar.

Czas płynie.

Przerzuca Davčeka przez biegnącą wzdłuż burty poręcz.
Ciało z chlupotem wpada do wody.

Dwudziestopięciokilogramowa kotwica ściąga zwłoki na
dno.

Jovan Kiss spogląda na pogrążające się głębinach ciało.

Nie tak to wszystko planował.

Jest jeszcze ciemno, kiedy wraca na przystań. Włącza
światła pozycyjne.

Nie rozgląda się wcale. Wie, że jest śledzony.

Dopiero teraz przyrządza sobie trunek. Żeby popić pigułkę
nasenną.

Kładzie się nago na koi.

Noc jest ciepła. Dzień będzie gorący.

Major Szöveges osobiście jedzie na granicę po pod-
pułkownika Vuketicia.

Dzięki temu zyska trzy godziny.

Vuketić to dwumetrowa wieża z mięsa. Jest przy tym zaskakująco żwawy. Czaszka gładka jak kula bilardowa.

— Jovan Kiss jest zagadką.

Vuketić pali cygaro. Grube, kubańskie.

— Był partyzantem. Wyszkolonym zwiadowcą. Według karty personalnej ma doskonale kwalifikacje. Z uwagą, że do przesady zuchwały. Nie interesuje go niebezpieczeństwo. W walce wręcz unieszkodliwił ponad stu Niemców. Całą jego rodzinę wymordowano w Nowym Sadzie.

— Po wojnie trafił do milicji. Był dokładnie taki, jak to określono w karcie personalnej. Tylko że wydział kryminalny to nie zwiad na wojnie. A kieszonkowcy to nie SS-mani.

— Ująć uzbrojonego mordercę. To lubił! Ale nie pracował w grupie operacyjnej zajmującej się morderstwami

— Cały wolny czas spędzał w sali treningowej. Pływał, uprawiał judo, podnosił ciężary, strzelał. Dla zakładu stawał do walki nawet przeciwko czterem. Nie można było go pokonać

— Pierwszego zawału dostał w moim gabinecie. W czasie porannej odprawy,

— Myślałem, że umrze na miejscu. Twarz mu poszarzała. Był mokry od potu. Z bólu przegryzł wargi do krwi,

— W rok później nowy zawał. Musiał iść na emeryturę.

Vuketić znowu zapala cygaro.

— Przez rok o nim nie słyszałem. Czasem spotykaliśmy się na treningu.

— Po głośnym napadzie na bank w Zagrzebiu na horyzoncie pojawiła się postać nazywana Inspektorem, Doniósł o nim jeden z naszych szpiclów. Rysopis zgadzał się z wyglądem Jovana Kissa.

— Zarządziliśmy obserwację. Bez żadnych rezultatów.

— W tym czasie trafił szóstkę w toto-lotku. Kupił sobie motorówkę.

— Napad na bank w Nowym Sadzie. Potem sklep jubilerski w Zagrzebiu.

— Żadnych dowodów przeciw Kissowi. Nigdy nic. Zawsze

tylko podejrzenia.

— Potem porwanie w Zadarze.

Vuketić gasi cygaro. Z trzaskiem rozgniata zwitki tytoniowych liści w popielniczce.

— Porwano włoskiego fabrykanta. Razem z rodziną był na wakacjach w Zadarze...

— W nocy zatelefonowali do żony do hotelu. Pół miliona dolarów okupu. Ani słowa więcej nie powiedzieli.

— Na drugi dzień kobieta otrzymała list, a w nim pęk włosów męża.

— Były to czarne, kręcone, mocno sprężynujące włosy, jakich nikt inny nie miał.

— Następny telefon nakazywał żonie wyjazd z pieniędzmi do miejscowości Murter. I zatrzymanie się w hotelu „Gwiazda”.

— Rozmowa trwała tak krótko, że nie zdążyliśmy namierzyć, skąd jest prowadzona.

— W nocy zadzwoniono do niej, do hotelu. Miała natychmiast wyruszyć hotelową motorówką na jedną z bezludnych wysp archipelagu Kornaty. Jeśli ktokolwiek będzie za nią płynął — zabiją męża.

Podpułkownik Vuketić westchnął.

— Zna pan Kornaty? To nawet nie archipelag mniejsze lub większe rafy. To istny labirynt wodny.

— Śledziliśmy ich z odległości dwudziestu kilometrów. Także z czterech helikopterów.

— Z wyznaczonej rafy dali znak kieszonkową latarką.

— Prowadzącego motorówkę sternika ogłuszyli w momencie, kiedy tylko dotknął brzegu. Zabrali kobiecie pieniądze, poczem przycisnęli jej do twarzy wateę z chloroformem

— Gdy dotarliśmy do nich, spała. Mąż również. Związany. Dali mu zastrzyk.

— Niczego nie pamiętał. Wiedział, że go karmiono. Przypominał sobie jeszcze tylko warkot silników, szum morza i kołysanie

— Oczy miał zaklejone plastrem.

Vuketić zapala nowe cygaro.

— Czy wie pan, majorze, w czym są do siebie podobne Zagrzeb, Nowy Sad i Zadar?

Major Szöveges milczy.

— Wszystkie są położone nad wodą. Nad Sawą, Dunajem i Adriatykiem.

— W dwóch wypadkach udało się nam ustalić, że w czasie popełnienia tych przestępstw Jovan Kiss znajdował się w owych miejscowościach ze swoją motorówką. Podczas porwania również. Wyekspediował wtedy swoją łódź koleją do Dubrownika.

— Szentendre również leży nad Dunajem — mówi major Szöveges.

Vuketić wie o tym. Obejrzał mapę.

W komendzie czeka na nich porucznik Gáli.

— Jovan Kiss wrócił na przystań swoją łodzią o trzeciej nad ranem. Samotnie. Od tego czasu nie wyszedł z kajuty.

— A Davček?

— Zniknął. Nie wrócił do hotelu. Nie odebrał bagaży. Obstawiliśmy pośpieszny do Wiednia.

— To już zbędne — mówi podpułkownik Vuketić. Tłumacz przekłada jego słowa.

Major Szöveges widzi, że podpułkownik jest błądy. Tego, że i on sam blednie, widzieć nie może.

Nie pyta też, dlaczego jest zbędne obserwowanie pośpiesznego do Wiednia.

— Co pan zamierza uczynić? — pyta podpułkownik Vuketić.

— A co pan by zrobił?

Szöveges nie chce przejmować odpowiedzialności Ufa temu potężnemu, spokojnemu człowiekowi.

— Milan Davček zaginął. Po raz ostatni widziano go w towarzystwie Jovana Kissa. Musi więc pan sprowadzić Kissa, żeby go przesłuchać.

Vuketić ociera skronie. Jest gorąco.

— On z kolei pięknie opowie, kiedy i dlaczego wysadził na brzeg Davčeka. Nie będzie miał świadka. Ale i pan nie będzie

niał dowodu przeciw niemu.

Milczą.

— Czy mógłbym dostać mapę Dunaju? — pyta podpułkownik.

Porucznik Gáli podaje natychmiast. Od chwili popełnienia morderstwa mapa Dunaju znajduje się na biurku Szövegesa.

Podpułkownik Vuketić długo przygląda się mapie. Potem ją składa.

— Jeśli chce pan znaleźć posążki, musi pan przeszukać co najmniej dwustukilometrowy odcinek brzegu. Metr po metrze. Zakładając, że skradziony zbiór jest jeszcze na Węgrzech. Czy ma pan do tego odpowiednią ilość ludzi?

Pytanie jest zbędne.

Obaj wiedzą, że do wykonania tego zamysłu potrzebna byłaby armia.

— Ale jeśli nawet znajdzie pan posążki, to tylko odzyska pan łup. Założę się o każdą kwotę, że nie będzie na nich żadnego śladu, który mógłby zostać wykorzystany przeciwko Kissowi.

— A czy beznadziejne jest również liczenie, że znajdziemy jakiś ślad w Łodzi?

Podpułkownik Vuketić kładzie zgasłe cygaro na popielnicze.

— Już dziesięć razy przeszukiwałem motorówkę Kissa. Ale niech i pan ją przeszuka, podczas przesłuchania. W końcu Kiss musi kiedyś popełnić błąd.

Mówi to jednak nie tyle Vuketić, co oficer milicji. Bo osobiście Vuketić nie wierzy w to, żeby Jovan Kiss kiedykolwiek popełnił błąd.

— Zostanie pan tu w czasie przesłuchania?

Vuketić potrząsa przecząco głową.

— Wrócę do Belgradu. Porozmawiam ze swoim szefem.

— Po co?

Vuketić wzrusza ramionami.

— A bo ja wiem...

Jovan Kiss budzi się w momencie, kiedy dwóch wywiadowców wchodzi na deski pomostu.

Wygląda przez zaciągnięte storą okno kajuty.

Kładzie się znowu.

Czekał już na nich.

Wiedział, że po niego przyjdą.

Porucznik Gáli jest zakłopotany. Nie wie, czy najeży pukać, kiedy jest się na motorówce. Wchodzi do kokpitu i puka do drzwi kajuty.

— Kto tam? — słyszy po pewnej chwili zaspany głos Jovana Kissa.

Porucznik otwiera drzwi kajuty. Nie są zamknięte.

Jovan Kiss siada na łóżku.

— Czego pan tu szuka?

Porucznik Gáli wyjmuje legitymację.

— Milicja. Jovan Kiss?

— Proszę chwilę poczekać.

Kiss zrzuca z siebie miękki koc. Nago wychodzi z koi. Jakby w kajucie nie było nikogo obcego.

Otwiera szafkę. Wyjmuje płaszcz kąpielowy. Wkłada na siebie

Teraz dopiero ogląda legitymację służbową porucznika Gáliego.

— Jestem Jovan Kiss. Czego pan sobie życzy?

— Pójdzie pan z nami na komendę.

— W jakiej sprawie?

— O tym porozmawiamy raczej już na miejscu.

Jovan Kiss uśmiecha się. Porucznika zadziwia błękit oczu Kissa.

— Pan zapewne wie o tym, że jestem obywatelem Jugosławii. Mam prawo zawiadomić ambasadę mojego kraju.

— Oczywiście. Ale sądzę, że dla tego jednego przesłuchania nie ma powodu robić urzędowych ceregieli.

Głos Jovana Kissa jest ostry.

— O tym ja będę decydował. A jeśli nie dowiem się, w jakiej sprawie zamierzacie mnie przesłuchać, nie będę się mógł zdecydować, czy mam zawiadamiać ambasadę, czy też

nie.

Porucznik Gáli zastanawia się.

— Może pan zawiadomić ambasadę z komendy.

Jovan Kiss odpowiada bez zastanowienia. Przemyślał już z góry tę całą rozmowę.

— O ile, oczywiście, zdecyduję się pójść z panami...

Porucznik Gáli milczy.

— Proszę poczekać na zewnątrz, póki się nie ubiorę — mówi Jovan Kiss.

Dalsze przeciąganie sprawy uznaje za zbędne.

Do tego momentu wszystko przebiegało tak, jak to sobie zaplanował.

— Chcemy pana przesłuchać na okoliczność zniknięcia Milana Davčeka — mówi major Szöveges.

Okna pokoju na drugim piętrze chroni gruba krata. Na dole, na ulicy, dudnią samochody.

Porcelanowo niebieskie spojrzenie Jovana Kissa spotyka się z oczyma majora. Szöveges ma brązowe oczy

— Niecił pan będzie tak uprzejmy i powie mi, kiedy i gdzie spotkał się pan po raz pierwszy z Milanem Davčekiem?

— Jakieś pięć dni temu. Na kąpielisku Palatínus.

— Jeśli można, proszę to dokładniej opisać.

Jovan Kiss marszczy czoło. Jakby się namyślał. Uważnie zlustrował pokój. Tu nie będą go bili.

Nie jest całkiem pewny, czy bałby się bicia. Ale

przecież po to tyle lat walczył i służył w wojsku, żeby nikt nie mógł go bić.

— Dziś jest wtorek, prawda? No to w czwartek. W zeszłym tygodniu, wczesnym popołudniem.

— Czy przedtem znał go pan?

— Nie.

— Na pewno?

— Z całą pewnością.

Jest to pierwsze kłamstwo Kissa.

Przesłuchiwał wiele setek ludzi. Nie było łatwo ustalić, kiedy

kłamali. Chyba, że miało się w rękę dowody.

Jovan Kiss uśmiecha się.

Przesłuchujący go w tej chwili śledczy nie ma w rękę dowodów.

— W jaki sposób panowie się poznali?

— Zapytałem, czy miejsce obok niego jest wolne. Oczywiście, po węgiersku. Davček odpowiedział po serbsku. Okazało się, że obaj jesteście z Belgradu. Zaprosiłem go na drinka do Grand Hotelu. Zwierzył mi się, że jest zapalonym wędkarzem. Zaproponowałem mu swoje zapasowe wędki. Umówiliśmy się na drugi dzień, wieczorem, na ryby.

— Dlaczego dopiero na drugi dzień?

— Bo na ten dzień, w którym się spotkaliśmy Davček miał bilet na jakiś koncert bitowy.

— Czy Davček lubił muzykę bitową?

Uwagi Jovana Kissa nie uchodzi użycie czasu przeszłego,

— Pojęcia nie mam. Nie znam go do tego stopnia. Mówi o Davčeku w czasie teraźniejszym.

— Nie spotkaliście się do następnego dnia?

— Nie.

— Na pewno?

— Z całą pewnością.

Teraz Kiss kłamie po raz drugi. I zdaje sobie sprawę, że dwukrotnie zażądano potwierdzenia tego kłamstwa.

— Co było potem?

— Niczego nie złapaliśmy.

— A gdzie łowiliście?

— W kilku miejscach. W pobliżu wyspy Szentendre. A także przy drugim brzegu.

— W którym korycie rzeki?

— W tym przy Szentendre.

— A przy samym Szentendre również?

Jovan Kiss chwilę czeka. Jakby się namyślał.

— Tak, tam również.

— Czy wychodziliście na brzeg?

— Nie.

— Zna pan Szentendre?

- Byłem tam kilka razy.
- W tych dniach również?
- Nie.

Jovan Kiss jest ciekawy, czy przesłuchujący go i tym razem zapyta: „na pewno?”.

Major Szöveges nie zadaje jednak teraz tego pytania.

Scenariusz przesłuchania ma zakodowany w mózgu. Wie jednak, że miejscami trzeba improwizować.

- Kiedy spotkaliście się raz jeszcze?
- Wczoraj.
- O której?
- Po południu,
- Byliście umówieni?

Kiss jakby się namyślał, On również ma scenariusz tego przesłuchania.

— Nie. Ale Davček wspomniał, że codziennie po południu jest na kąpielisku „Palatínus”. Pomyślałem, że może przyjdzie mu ochota na ryby.

- Pan zawsze łowi nocą?
- Nie.

Jovan Kiss znów się uśmiecha.

- Ale złowiłem już nocą kilka ładnych sztuk.
- Czy wczoraj też byliście w korycie szentendreńskim?
- Nie. Wczoraj byliśmy pod Nagytétény.
- A dlaczego nie włączył pan świateł pozycyjnych?

Jovan Kiss wie o tym, że był obserwowany. Nie chce udawać naiwnego.

— A więc panowie śledzili Davčeka...?

Major Szöveges wzrusza ramionami. Zapala nowego papierosa.

— Można to i tak powiedzieć. Ale pan nie odpowiedział na moje pytanie.

— Zepsuły się bezpieczniki. Dopiero później zauważyłem, że nie palą się światła. Wymieniłem wtedy bezpieczniki.

— Zresztą — dodaje Kiss — wypalone bezpieczniki znajdują się w łodzi. Zdaje się na stole.

Major Szöveges czuje, że tej rozgrywki nie może wygrać. Przynajmniej tymi metodami.

Szöveges jeszcze nigdy nie uderzył podejrzanego.

Może by i uderzył, gdyby wierzył w skuteczność takiego kroku.

Nie wierzy, że z człowieka, który przed nim siedzi, można biciem wydobyć zeznanie.

— I teraz też nic nie złapaliście?

Jovan Kiss wyjmuje papierosa z kieszonki koszuli. Nie pyta, czy może zapalić. Nie jest przecież oskarżonym.

Głęboko zaciąga się dymem. Opiera wygodnie na krześle.

— Czy mógłby pan wreszcie powiedzieć, do czego pan zdąża?

Mierzą się wzrokiem.

Jovan Kiss i major Szöveges.

— Przypuszczam, że nie interesuje pana, co złowiłem.

Major Szöveges już wie, że tego człowieka nie można wyprowadzić z równowagi.

Gra w otwarte karty.

Do pewnego stopnia, oczywiście.

— Milan Davček zniknął.

Porcelanowo niebieskie oczy Jovana Kissa są nieruchome,

— Na jakiej podstawie pan tak sądzi? O świcie był jeszcze ze mną.

— Mam powody. Wiemy również, że pan był ostatnim człowiekiem, który go widział.

Szöveges zapala papierosa.

— Właśnie dlatego chciałbym wiedzieć, gdzie i kiedy widział go pan po raz ostatni?

— Wysadziłem go na brzeg przy śluzie Kvassay. Koło trzeciej nad ranem.

— Dlaczego nie zabrał go pan ze sobą na przystań?

Jovan Kiss milczy. Potem uśmiecha się.

— Powiedział, że nie lubi kobiet. A później położył swoją rękę na mojej. Brzydę się tym. Przy pierwszym trapię wysadziłem go na brzeg. Niech się pedał trochę przejdzie i ochłonie.

Major Szöveges przygląda się Jovanowi Kissowi Patrymu w oczy. Postanawia zaryzykować.

— A gdybym powiedział panu, że mamy świadków, którzy widzieli pana razem z Davčekiem w piątek przed południem w muzeum w Szentendre?

Jovan Kiss uśmiecha się. Jego porcelanowo niebieskie oczy są nieruchome.

— Powiedziałbym, że ci świadkowie się mylą.

Major Szöveges jeszcze się nie poddaje.

— Trudno pana pomylić z kimś innym, panie Kiss.

— A jednak, jak widać, można.

Szöveges już wie, że przegrał.

— Oczywiście, pan nie wie, że okradziono muzeum w Szentendre?

Czeka. Cuda zdarzają się czasem.

— I że zamordowano dwoje ludzi.

— Mój Boże — mówi Jovan Kiss. — To straszne.

Nigdy nie wierzył w Boga.

Major wie, że już nawet na cud nie może liczyć.

— W tę noc, kiedy pan z Davčekiem łowił w pobliżu Szentendre.

Jovan Kiss oddycha z ulgą.

— To znaczy, że to nie mógł być Davček. On był całą noc ze mną.

Perfekcjonista, stwierdza w myślach Szöveges. Czuje, że krew uderza mu do głowy.

— Możliwe, że to nie Davček jest mordercą. W każdym razie muszę pana prosić, żeby nie opuszczał pan Budapesztu. Łodzią też.

Major nie może się opanować.

— I jeśli pan chce, niech pan protestuje przeciwko temu w swojej ambasadzie.

Podpułkownik Vuketić siedzi w dużej sali, która jest gabinetem jego szefa. Pije koniak. Mówił czterdzieści minut. Opowiedział wszystko, co wiedział lub co przypuszczał na temat Jovana Kissa.

Teraz jest bardzo zmęczony.

Nie tylko dlatego, że dwie noce nie spał.

Smakuje mu koniak.

Szef otwiera znajdujące się na stole srebrne pudło.
Starannie wybiera spośród grubych cygar.

Pudełko zostawia otwarte.

W tym pokoju wszystko jest ogromne.

Może dlatego Vuketić czuje się tu swojsko.

Jego potężne ciało wygodnie rozpiera się w ogromnym fotelu.

— Jakie masz wnioski?

— Nie mam wniosków.

Dopiero teraz wyjmuję z pudełka cygaro.

— Wiem tylko jedno. Że Jovan Kiss znów będzie zabijał.

Szef zapala cygaro. Nie podaje ognia Vuketiciowi.

Do każdego cygara potrzebna jest jedna cała zapalka.

— Węgrzy?

— Nic mu nie mogą zrobić. Podejrzenie jest wprawdzie stuprocentowe, ale brak dowodu.

Podpułkownik Vuketić również zapala swoje cygaro.

— Przeciwno Jovanowi Kissowi istnieje jedyny dowód.
Jest nim on sam.

Zaciąga się cygarem. Rozkoszuje aromatem.

— Jovana Kissa nigdy nie zmuszą do zeznania.

— To pewne?

Szef też już przeżył to i owa

— Pewne.

— Cóż możemy zrobić?

Vuketić nalewa sobie jeszcze jeden kieliszek koniaku.

— Możemy wyciągnąć jego stare sprawy. Od ostatniej minęło już półtora roku. I wtedy też do niczego nie doszliśmy.

Pije łyk koniaku.

— Możemy obserwować Kissa. Potrzeba do tego dziesięciu ludzi. I to też ciągle zmienianych.

Wypija resztę koniaku.

— Jeśli Kiss zechce, to i tak zwieje.

Szef zaciąga się cygarem. W gabinecie jest półmrok. Tylko

na biurku pali się lampa.

— Czy nie przeceniasz jego możliwości?

— Nie — mówi podpułkownik Vuketić. — Nie przeceniam. Szef nie rusza się. Siedzi w fotelu i pali cygaro.

— Możemy zaczekać, aż pojawią się te posążki. Ale one nie pojawią się. A jeśli nawet, to nie doprowadzą nas do Kissa.

— Czy to pewne, że on jest sprawcą?

— Całkowicie pewne.

— Jak myślisz, dlaczego on to robi?

Vuketić wypił cztery kieliszki koniaku. Sto razy zastanawiał się już nad tym, dlaczego Kiss to robi.

— Nie wiem.

— Co radzisz?

— Naszymi metodami do niczego już nie dojdziemy. A Kiss będzie kroczył dalej. I teraz będzie już zabijał. Ilekroć zajdzie potrzeba.

Szef wstaje. Podchodzi do olbrzymiego okna.

Dobrze oświetlona ulica jest pusta. Nigdzie ani człowieka.

Szef odwraca się od okna.

— Czy pamiętasz, co ci powiedziałem w czasie październikowego odwrotu?

W czasie wojny podpułkownik Vuketić był dowódcą batalionu.

Podpułkownik milczy.

— Są sytuacje, w których nie sposób wydać innego rozkazu.

Vuketić podnosi się i fotela. Zostawia swoje cygaro w popielniczce.

Jest bardzo zmęczony.

W czasie październikowego odwrotu otrzymał rozkaz, aby postępował według swego uznania.

W samochodzie przesypia całą drogę z Belgradu do Budapesztu.

— Mam następującą prośbę — mówi do majora Szövegesa. — W momencie, kiedy pojawię się na przystani, zdejmie pan wszystkich swoich obserwatorów

Zapala cygaro. Major pali papierosa.

— Proszę zawiadomić straż graniczną, że wraz z kolegą przekroczymy granicę motorówką Jovana Kissa. Jeszcze dziś w nocy.

— A Jovan Kiss?

Podpułkownik Vuketić nie odpowiada.

Poczem mówi:

— Nie będziecie z nim mieli więcej do czynienia.

Major Szöveges ma oczy zaczerwienione od bezsenności.

— Muszę to zameldować swojemu przełożonemu.

— Ależ oczywiście.

„Jastrzębia” naturalnie przeszukano.

Niczego nie znaleziono.

Noże zabrano do laboratorium. Siadów krwi — żadnych. Ostrza wprawdzie podobne, ale nie zgadzały się z kluczami tych sztyletów, którymi zamordowano ofiary.

Major Szöveges wie, że w każdej chwili może aresztować Jovana Kissa.

Ale sąd nie wyda skazującego wyroku.

Brak dowodów.

Po powrocie z komendy Jovan Kiss zrzuca z siebie w kajucie ubranie. Wkłada kąpielówki. Dwadzieścia minut pływa w Dunaju.

Wie, że kąpiel jest tu wzbroniona.

Nie obchodzi go to.

Woda przyjemnie chłodzi.

Nie wyciera się. Mokry kładzie się na dachu kajuty.

Jest gorąco.

Na brzegu biała łada z otwartymi drzwiami. W samochodzie trzech mężczyzn.

Nie przejmuje się nimi.

Jeszcze raz od początku odtwarza przebieg wydarzeń. Szuka w pamięci najdrobniejszych szczegółów.

Pelargonie w jednym z okien.

Śmiejąca się dziewczyna przed kościołem.

Lodziarz.

Oleander w pomalowanym na zielono cebrze.

Mimo wszystko strażnik. Tak, to on.

Major powiedział, że więcej osób ich widziało.

Bluff.

Gdyby mieli dwóch świadków, skonfrontowaliby ich z nim.

Jeśli skonfrontują go tylko **ze** strażnikiem — Kiss wyprze się wszystkiego.

Co jeszcze wie milicja? Że tej nocy był razem z Davčekiem. I że był **z** nim również wówczas, kiedy Davček zniknął.

To już więcej niż podejrzenie.

Ale to jeszcze nie dowód.

Nie ma alibi.

Jedyny człowiek, który mógłby potwierdzić względnie obalić jego alibi, już nie przemówi.

W muzeum z całą pewnością nie zostawili żadnych śladów. Skrzynek nie znajdują.

A jeśli nawet?

Sztylet, ubrania, lutownica — na dnie Dunaju.

Skrzynki nie mają głosu, świadczyć nie będą. Posążki również.

Słońce pali niczym ogień. Kąpielówki wyschły na ciele Jovana Kissa.

Schodzi do wody po schodkach. Długo pływa. Kładzie się znowu na dachu kajuty.

Biała łada stoi na brzegu.

Jeśli aresztują go — odmówi zeznań. Niczego nie chłapnie.

W ten sposób nie wplącze się w żadne rozbieżności.

Jovan Kiss jest pewny siebie.

Dowodów przeciwko niemu brak.

Dopadną go dopiero w domu.

Jak dotąd najbardziej dłużyły się te dwa tygodnie, kiedy go nieustannie śledzono. Teraz będą go obserwować przez dwa miesiące.

A może pół roku.

Absurd.

Jovan Kiss wie, ilu ludzi musiano by zaangażować do tej

operacji.

Jeśli nawet przez rok nie zejda z niego, spokojnie będzie żył z emerytury. Książeczka oszczędnościowa też jest na jego nazwisko.

Badzie dużo pływał. Ćwiczył judo. Chodził na mecze.

Znajda się dziewczyny.

A potem spotka się z kimś. Ten ktoś pojedzie później do Austrii. W Wiedniu porozmawia z kimś innym. Ktoś zajmie się zorganizowaniem przerzutu obu skrzynek z Węgier. Ktoś spienięży posażki.

Nie pozbawione to ryzyka.

A jeśli nawet przemytnik, względnie paser wpadnie, to nie będzie miał najmniejszego pojęcia, że gdzieś w Belgradzie żyje sobie emerytowany oficer milicji o nazwisku Jovan Kiss.

Wszystko to oczywiście teoria. Jovan Kiss zdaje sobie doskonale sprawę, że w każdej chwili może złamać kark przez byle drobiazg.

Kto by przewidział, że to ten strażnik?

Najchętniej wytrzaszałby się teraz po pysku. O wszystkim trzeba myśleć.

Ryzyko zawsze istnieje. W przeciwnym wypadku, cóż byłoby to wszystko warte. Ale błędów nie należy popełniać.

Strażnik to był błąd.

Kiss źle śpi. Coś mu się śni. Kiedy jednak się budzi, nie pamięta już sennych majaków.

Jest zdenerwowany.

Otwiera pokrywę silnika. Pieczołowicie czyści silniki. Sprawdza przewody. Wyciera świece. Dolewa destylowanej wody do akumulatora.

Wszystko to zbędne, ponieważ łódź jest w największym porządku. Ot, byle czas zleciał.

Nie lubi czekać. A przecież na tak wiele czekał w życiu.

Biała łada stoi na brzegu. Węgierscy tajniacy bez żenady obserwują Kissa.

A on, ilekroć uruchamia silniki, uśmiecha się.

Chłopcy w tym momencie zaczynają się denerwować.

Kiss nie wie o tym, że za zakotwiczonymi przy drugim

brzegu barkami przyczyły się dwie milicyjne motorówki. Nie wie też, że zza opuszczonych żaluzji okna jednego z przybrzeżnych domów obserwowany jest przez lornetę. A na wyspie Szentendre stoi w pogotowiu helikopter. Po obu brzegach Dunaju po jednym samochodzie z uzbrojonymi tajniakami. I że wszyscy, którzy go obserwują, wyposażeni są w krótkofalówki.

O tym wszystkim Jovan Kiss nie wie. Ale nawet gdyby wiedział, nie interesowałyby go te szczegóły.

Teraz musi czekać i jest to jego jedyne wyjście w tej chwili.

Po południu na pomost wchodzi dziewczyna w białej sukience.

Jovan Kiss leży na dachu kajuty. Czyta książkę lorda Chicheстера. O tym, w jaki sposób samotnie na jachcie Gipsy Moth opłynął kulę ziemską.

Sympatyczny wariat.

Dziewczyna pozdrawia go już z pomostu. Teraz też jest ubrana na białą

Jovan Kiss odwzajemnia pozdrowienie.

W białej ładzie jeden z wywiadowców podnosi do ust mikrofon krótkofalówki.

Kissowi nie żal dziewczyny. Przesłuchają ją później. Nic złego jej się nie stanie.

— Gdybym nie przyszła, to ty byś w ogóle mnie nie szukał?

— Kto wie... — odpowiada Jovan Kiss.

— Zawsze jesteś taki ohydny?

— Zawsze.

— Kłamiesz.

— Możliwe.

Kiss przyrządza koktajl. Podaje szklanekę dziewczynie. Dziewczyna potrząsa głową.

— Nie chcę się znów upić.

— I nie upijesz się.

Dziewczyna wyczuwa, że Kiss ma dziwny głos. Traci pewność siebie.

— I na wodę też nie wypłyniemy.

— Masz jakiś inny program? — pyta dziewczyna. Kiss przecząco potrząsa głową.

— Co się stało?

— Ci panowie mi zabronili.

Głową wskazuje białą ładę. Dziewczyna podąża spojrzeniem za jego gestem.

— A kim oni są?

— Milicjanci, tajniacy.

Dziewczyna w białej sukience milknie. Czuje, że robi się jej bardzo gorąco.

— Czego oni chcą od ciebie?

— Drobiazg.

Oczy Jovana Kissa są porcelanowo niebieskie.

— Uważają, że obrabowałem jakieś muzeum. Zapala papierosa. Częstuje również dziewczynę.

— I że zabiłem trzech ludzi.

Oczy dziewczyny w białej sukience gwałtownie się rozszerzają.

— Czyś ty zwariował?

Jovan Kiss potrząsa głową.

— Że zabiłeś?

— Wielu ludzi zabiłem w swoim życiu.

— Nie zaczynaj od nowa — krzyczy dziewczyna.

— Lepiej, jeśli stąd teraz odejdziesz.

Dziewczyna milczy

— I tak będą cię ciągnąć za język.

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Będą cię wypytywać, jaki jestem, skąd i od kiedy mnie znasz.

— Przecież ja cię wcale nie znam.

Szumi Dunaj.

— Właściwie szkoda, że cię nie znam... — mówi dziewczyna w białej sukience.

— Nikt mnie nie zna — odpowiada Jovan Kiss.

I po chwili dodaje: — Ci którzy mnie znali, nie żyją.

— Ciągle tylko ta śmierć.

Przez twarz dziewczyny przebiega grymas.

— Zawsze jest z tobą.

Jovan Kiss uśmiecha się.

— A może to ja jestem śmiercią...

— Jesteś szalony.

— Nie sędzę — mówi Jovan Kiss.

Powierzchnię wody przemiata szkwał. Drzewa

wzdłuż brzegu uginają się.

Od rana ciśnienie spadło o cztery milibary.

Jovan Kiss wchodzi do kajuty, wkłada płaszcz kąpielowy.

Dziewczyna siedzi nieruchomo na tylnym siedzeniu.

Jovan Kiss patrzy na nią.

— Myślę o tym, czy potrafiłabym z tobą żyć — mówi dziewczyna.

— Lepiej, jeśli stąd pójdziesz.

— A co będzie z tobą?

— Nic.

— Aresztują cię?

Jovan Kiss wzrusza ramionami.

Naprawdę nie wie.

— Zatelefonujesz?

— Być może.

— Dotąd jednak nie dzwoniłeś...

Jovan Kiss patrzy na wodę. Wiatr ją marszczy.

— Przyrzeknij, że zadzwonisz.

Dziewczyna zdaje sobie sprawę, że mówi bez sensu,

— Nie przyrzekaj niczego. Raczej mnie pocałuj.

— Obserwują nas.

— Chodź do kajuty.

Dziewczyna jest zdecydowana.

— Chcę z tobą iść do łóżka.

— Nie lubię, kiedy mnie śledzą — mówi Jovan Kiss.

— Gwiżdżą na nich.

— Ja również. Ale nie lubię, kiedy mnie śledzą.

Dziewczyna już prawie płacze.

— Zdaje mi się, że cię kocham.

— Idiotyzm.

Jovan Kiss umyślnie jest brutalny.

- Będą cię przesłuchiwać.
- Nic mnie to nie obchodzi.
- Wezmą na komendę.
- To nieważne! — krzyczy dziewczyna.
- Idź już — mówi Jovan Kiss.
- Co mam im powiedzieć? — pyta dziewczyna.
- Prawdę.

Jovan Kiss nie odprowadza dziewczyny w białej sukni. Patrzy za nią, jak idzie pomostem. Ktoś odchodzi z jego życia.

Wielu już odchodziło.

Dziewczyna stoi na brzegu i macha ręką.

Jovan Kiss również podnosi rękę.

Wieje wiatr.

Jeden z wywiadowców wysiada z białej łady. Podchodzi do dziewczyny.

Nigdy jej więcej nie zobaczę, myśli Jovan Kiss.

Budzi go dudnienie kroków po deskach pomostu. Spogląda na zegarek. Pół do pierwszej.

Odsłania firankę.

Pomostem idzie dwóch mężczyzn. Widzi tylko ich sylwetki.

Mógłby wskoczyć do wody i odpłynąć. Ale co począłby później? Mokry, w piżamie, bez pieniędzy i dokumentów?

I dlaczego właściwie miałby uciekać?

Opada z powrotem na łóżko.

Na półce obok leży nóż.

Z trzaskiem pękają wyłamane drzwi do kajuty. Jovan Kiss klnie.

Bez pukania!

Smuga ostrego światła tnie go po oczach. Musi je zmrużyć.

— Wychodź — mówi ktoś po serbsku.

Jovan Kiss zna ten głos.

— Ręce do góry, nad głowę. Z rozwartymi dłońmi Kiss już wie, że to podpułkownik Vuketić do niego mówi.

Wie również, że zmieniły się reguły gry.

Wychodzi spod koca.

Podnosi ręce.

Przechodzi do kajuty.

Wszystkie mięśnie ma napięte.

W ciasnej kajucie Vuketić z trudem może posłużyć się bronią.

A łódź się chwieje.

Podpułkownik natychmiast wycofuje się z kajuty. Jovan Kiss widzi w jego rękę pistolet. Prawdopodobnie beretta.

Dokładnie nie wie, bo oślepia go ostre światło.

— Wychodź — powtarza Vuketić.

Kiss wychodzi z kajuty. Gumowa pałka spada na jego potylicę.

Gdy dostrzega cień, osłania ramieniem głowę. Częściowo osłabia tym uderzenie, ale i tak się ślania.

Kajdanki zatrząskują mu się na przegubie. Ktoś mocno szarpie go za ramię. Aż boli. Druga klamra kajdanków zamyka się na stalowej barierce burty koło siedzenia przy sterze.

— Zrewiduj go — słyszy głos Vuketicia.

Ciągle jeszcze jest oszołomiony uderzeniem.

Jednym pchnięciem rzuca go ktoś na siedzenie przy kierownicy. Starannie przeszukuje.

— Nic nie ma.

Głos wskazuje, że to ktoś młody.

— Powiedz kierowcy, że może odjechać.

To Vuketić.

Jovan Kiss przytomnieje. Tylko potylica go boli. A także ramię, którym osłabił uderzenie.

— Połóż rękę na kierownicy — mówi Vuketić. —

I patrz tu, w latarkę.

Jovan Kiss powoli odwraca się w stronę smugi światła. Powieki opuszczone, jakby jeszcze był półprzytomny. Kto porusza się w takim zwolnionym tempie, tego nie trzeba się bać.

Podpułkownik siada obok Kissa. W lewej ręce latarka, w prawej pistolet. Prawdopodobnie beretta.

— Gra jest skończona — mówi Vuketić.

Kiss jest innego zdania.

Latarka oświetla jego twarz, a nie rękę.

Oblicze ma głupekowate. Widział już sporo ludzi, którzy dostali pałką po głowie.

W skórzanym pokrowcu na kierownicy znajduje się stalowe ostrze o długości półtorej piędzi i na dwa palce szerokie.

Głowo. Kissa opada w dół. Powoli, z męką unosi ją do góry. W porcelanowo niebieskich oczach nie ma blasku.

Dwoma palcami ostrożnie wyciąga ostrze. Centymetr po centymetrze, powoli.

Na pomoście już ucichły kroki.

Głowa znów mu opada.

Wbijają ostrze w przedramię Vuketicia. Pułkownik nie wydaje krzyku. Pistolet wypada mu z dłoni.

Jovan Kiss zadaje drugi cios w serce. Vuketić pochyla się do przodu.

Kiss sięga mu do kieszeni. W lewej kieszeni jest klucz od kajdanków.

Na brzegu rozlega się warkot samochodu.

Jovan Kiss z bocznej kieszeni przy sterze wyjmuje nowy nóż. Potężne ciało Vuketicia opada na oparcie siedzenia. Kiss kieruje światło latarki na pomost.

Lewą rękę wkłada w otwartą klamrę kajdanków. Prawą kładzie na kierownicy. Trzema palcami trzyma ostrze noża.

Towarzysz Vuketicia spokojnymi krokami idzie przez pomost. Nie śpieszy się. Zadanie wykonane.

Tak sądzi.

Kiedy wchodzi w smugę światła, Kiss dostrzega że funkcjonariusz ma w ręku pistolet.

Jovan Kiss z zamachem odchyła do tyłu prawe ramię.

Po tyśiąckroć to ćwiczył. Nóż wbija się w żołądek wywiadowcy. W to miejsce, gdzie nie ma kości.

Oficer łapie się za żołądek. Pada na kolana.

W tej samej chwili Jovan Kiss już jest przy nim. Kopie go w głowę. Nadeptuje na gardło. Dostrzega, jak przeciwnik chwyta wbity w ciało nóż.

Głupiec, stwierdza w myślach Jovan Kiss.

Całym ciężarem ciała ponownie nadeptuje na gardło. Słyszy trzask tchawicy. Wyciąga sztylet z żołądka. Wbija go w serce. Dla pełnego bezpieczeństwa. Sto procent.

Rozgląda się. Na brzegu nikłe światło lamp. Łada zniknęła. Jest ciepła noc.

Przeszukuje kieszenie zmarłego. Zwłoki spycha do rzeki. Zapala silniki.

Wyjmuje z dłoni Vuketicia pistolet. Z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel. Z prawej zewnętrznej kieszeni marynarki rezerwowego magazynek i amunicję.

Spogląda na deskę rozdzielczą. Igła na zegarze wskazuje, że silniki już się rozgrzały.

Zdejmuje cumy „Jastrzębia” z pomostu. Nie włącza świateł pozycyjnych.

Gdy już jest na środku Dunaju, zatrzymuje silniki.

Długo czeka, rozgląda się, nasłuchuje. Wszędzie cisza. Żadnego znaku, że go śledzą.

Z dużym wysiłkiem podnosi stukilogramowe zwłoki podpułkownika i opiera je na poręczy biegnącej wzdłuż burty.

Głowa Vuketicia bezwiednie opada na ramię. Jovan Kiss patrzy na twarz podpułkownika. Taka sama, jaka była za życia.

Przerzuca ciało przez poręcz.

Włącza światła pozycyjne. Dodaje gazu. „Jastrząb” rozpędza się po czarnej wodzie.

Nie ma poświaty księżyca. Tylko pełno gwiazd na niebie.

„Jastrząb” pruje wodę. Pędzi przed siebie.

Inaczej być nie mogło.

Nie wolno nad tym się zastanawiać.

Vuketić otrzymał tylko to, na co zasłużył.

To oni chcieli go zabić. Powiedzieliby pewnie, że stało się to podczas próby ucieczki.

A może nawet i tego by nie powiedzieli.

Woda wyrzuciłaby gdzieś jego zwłoki w stanie rozkładu. Z kulą w potylicy lub między oczyma.

Śledztwo po pewnym czasie utknęłoby w martwym punkcie. Jakie to proste.

Jovana Kissa nikt by nie szukał. Nie ma przecież nikogo bliskiego.

Możliwe, że chcieli go załatwić na Węgrzech. Albo już w kraju. A teraz czarna woda niesie ich zwłoki.

Lekarz powiedział mu, żeby uważał na siebie. Spokój, nie wyczerpujący tryb życia.

Jovan Kiss uśmiechnął się wtedy.

Nie powiedział lekarzowi, że śmierć go nie obchodzi. Lekarze są przekonani, że wszyscy boją się śmierci.

Jovan Kiss nie mógł znieść życia.

Ze śmiercią spotykał się dostatecznie często. Śmierć utkwiała głęboko w jego piersi, złapała w garść serce.

Odjęła mu lewe ramię.

Zobaczył śmierć. Była biała. Nie taka jak czarne lufy karabinów.

Patrzył na nią z obojętnością. Nie kłaniał się jej.

Nie wiedział, że spopieliała mu twarz. Że cały spływa potem.

Było to na poniedziałkowej odprawie. Siedzieli w sześciu wokół stołu.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał Vuketić.

Chciał odpowiedzieć, że nic takiego, ale tylko jęknął.

— Wyjdzie z tego — powiedział lekarz po zrobieniu zastrzyku.

Był przekonany, że pacjent nie słyszy tych słów.

Jovana Kissa nie obchodził lekarz. On mógł jedynie przedłużyć mu życie.

Ale nie był w stanie rozwiązać spraw jego życia.

Małostkowego, zasranego, nudnego życia po zawale.

„Jastrząb” pędzi po spalnym szlaku między czerwonymi i zielonymi światłami boi.

Na dziesięć kilometrów przed granicą wygasi światła.

Ale i tak usłyszą warkot silników.

Wystrzelą wtedy rakiety.

Kiss uśmiecha się. Wiele razy widział jasny, stugwiezdny blask rakiet. I wtedy zawsze zaczynało się dzieć coś ciekawego.

Nim jednak zdążą wysłać za nim motorówkę, będzie daleko, śladu nie powąchają.

Zawiadomią więc jugosłowiańską straż graniczną.

Jovan Kiss wie, że kapitan Trokan dysponuje dwiema motorówkami. Ale w nocy ma załogę tylko do jednej łodzi. A ta motorówka też jest wolniejsza od „Jastrzębia”.

Zagrodzą mu drogę. Nie ma jednak człowieka, który z pędzącej motorówki trafiłby w drugą rozpedzoną łódź motorową. Podziurawią kulami rzekę.

Jovan Kiss patrzy na tablicę rozdzielczą. Akumulatory naładowane. Temperatura silników w porządku. Głębokościomierz wskazuje pięć metrów. Obrotów cztery tysiące.

Tylko wskazówka stanu paliwa opadła. Benzyny starczy do granicy...

Jovan Kiss klnie. Nie pomyślał o tym.

Wyjmuje mapę. Rozkłada ją na znajdującym się obok tablicy rozdzielczej wysuwanym blacie. Zapala oświetlające mapę światełko. Wzdłuż brzegów Dunaju nigdzie nie ma stacji benzynowej.

Benzynę mieć musi. Bez niej nie dopłynie do domu.

Do domu?

Trzeba będzie opuścić swoje mieszkanie. Dunaj, Sawę Adriatyk. I „Jastrzębia” również. Tego najbardziej żałuje. Nie może wybaczyć Vuketiciowi, że wyłamał drzwi kajuty.

Teraz nie wolno mu myśleć o tym, co będzie w domu. Musi myśleć wyłącznie o tym, w jaki sposób przedostanie się przez granicę.

Nie miał żalu, kiedy po drugim zawale skierowali go na emeryturę. Po dziurki w nosie miał drobnych włamywaczy, hochsztaplerów, kieszonkowców.

Wtedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, co to znaczy być emerytem.

Długo studiuje mapę. Wszystkie stacje benzynowe znajdują się z dala od Dunaju. Zawsze liczył się z tym, że kiedyś będzie musiał przegrać. Ale tak naprawdę, to nigdy w to nie wierzył. Nie obchodziło go, jak skończy się ta zabawa. Igrał z

niebezpieczeństwem. Treść jego życia stanowiło działanie.

Jovan Kiss wie, że żywcem go nie wezmą. Wiedział już o tym w górach, kiedy nosił na czapce czerwoną gwiazdę.

Niech pan stara się prowadzić normalny tryb życia, powiedział lekarz w randze pułkownika. Tyle że w nieco wolniejszym tempie, ostrożniej.

Dwa zawały to nie przelewki.

Rankiem chodził do parku. Siadał na ławeczce. Jak wszyscy inni emeryci. Pistolet służbowy zatrzymał. Przynajmniej będzie miał czym skończyć z sobą.

Takie życie było nie do wytrzymania.

Przez cały rok pracował nad planem okradzenia banku w Zagrzebiu. Miał wreszcie cel, dla którego warto było żyć. Gdy spotykał się z kolegami w sali treningowej, widzieli, że znów szczerzy zęby w uśmiechu Cieszyli się z tego.

Stary wilczur.

Naprzeciw płynie pod prąd ciężko dysząc holownik. Jovan Kiss kieruje na niego reflektor motorówki.

Jovan Kiss wie, że w wieku pięćdziesięciu lat trudno jest zaczynać wszystko od nowa.

Nieważne. Ma konto bankowe w Mediolanie. Kilku ludzi, na których może liczyć. Dwie zalutowane skrzynki na wyspie Kompkötö.

Tyłu pieniędzy, żeby mu starczyło na wygodny luksus do końca życia, nie ma. A gdyby nawet miał? Nie chce jeszcze raz być emerytem.

Wszystko, byle nie to.

W tym momencie przypomina mu się odnoga rzeki pod Bają Prowadzi do wsi. A w tej wsi jest stacja benzynowa.

Od tego momentu nic innego już go nie interesuje.

Nie włącza reflektora W ciemnościach orientuje się lepiej niż w oślepiającym blasku.

Łatwo znajduje wejście do odnogi.

Na brzegu rybackie chaty.

Cienki sierp księżyca odbija się w wodzie.

Obok zabudowań suszące się na palach sieci.

Głębokościomierz wskazuje dwa metry.

Odnoga jest szeroka na pięć metrów Z lewej, na stromym brzegu, wierzby Z prawej bagno i trzciny. Woda tam płytka. W ciągu dziesięciu minut dopływa do filarów wysadzonego w czasie wojny mostu. Płynie bardzo wolno.

Głębokościomierz wskazuje półtora metra.

Naciska guzik. Śruby podnoszą się w górę.

Warkot silników staje się ohydny.

W szklach lornetki zarysowują się kontury zacumowanych u brzegu łodzi rybackich

Jovan Kiss kieruje „Jastrzębia” w stronę łódek.

Głębokościomierz wskazuje już tylko metr.

Jovan Kiss ostro skręca kierownicę w lewo. Zatrzymuje silniki.

Pod dnem „Jastrzębia” zgrzytają kamienie.

Kiss już jest na dziobie. Wskakuje do sięgającej kolan wody. Po kamienistym dnie wychodzi na brzeg. Zawiązuje linę cumową na pniu stojącej opodal wierzby.

Pistolet Vuketicia chowa do tylnej kieszeni. W boczną. skórzaną kieszeń džinsów, wsuwa nóż.

Ze skrzynki na narzędzia wyjmuje młotek i łom.

Zabiera dwa kanistry. W sumie czterdzieści litrów. Powinno wystarczyć. I można unieść.

Psy szczekają na Jovana Kissa. Uliczki nie są oświetlone.

Stacja benzynowa znajduje się na głównym placu. Z brudnymi rurami neonowego napisu. Cały plac w półmroku.

Kiss stawia oba kanistry obok pompy. Wpycha łom pod pokrywę. Naciska ciężarem całego ciała.

Wsufa stalową płytkę do zamku. Po trzydziestu sekundach zamek puszcza.

Jovan Kiss otwiera jeden z kanistrów. Wkłada końcówkę gumowego węża. Naciska kran.

Polowano na niego, ale i on był myśliwym. Teraz jest już tylko ściganym. Dlaczego o tym myśli? Będzie miał czas, żeby zastanowić się nad tą sprawą.

Jeden z kanistrów już pełny. Jovan Kiss przekłada szlauch

do drugiego. Benzyna spływa do środka.

Zwraca uwagę na szelest.

Ktoś ostrożnie stąpa po betonowym chodniku.

Kiss nie prostuje się. W pochyleniu patrzy zza pompy.

Obok budki stacji benzynowej stoi milicjant w mundurze. W dłoni pistolet.

Jovan Kiss zwalnia spływanie strumienia benzyny do kanistra. Nie chce, aby kanister był za ciężki.

Milicjant ostrożnie wychodzi zza budynku.

Kiss czeka.

— Ręce do góry! — krzyczy milicjant.

Dzieli ich jakieś pięć kroków.

Jovan Kiss uśmiecha się. Ten dzieciak właśnie uczy się abecadła. On już dawno ukończył uniwersytet.

Rzeczywiście. Imre Vörös w marcu tego roku awansował na kaprała.

— Ręce do góry! I nie ruszać się, bo będę strzelał!

Jovan Kiss uśmiecha się. Jak podnieść ręce, kiedy nie wolno mu się ruszyć.

Powoli się prostuje. Lewą rękę unosi nad głowę, prawą trzyma za uchwyt kanistra.

Milicjant jest o trzy metry od niego. Pistolet trzyma wyciągnięty przed siebie.

Kiss widzi, że lufa pistoletu się trzęsie.

— Proszę bardzo — mówi Jovan Kiss.

Nigdy o nic nie prosił. Nikogo.

Z całej siły rzuca kanistrem w milicjanta. Odczekuje ułamek sekundy na odskok milicjanta, żeby nie chybić. Ma przy sobie pistolet i nóż. Ale nie będą mu już potrzebne. Kapral Imre Vörös jest do tego stopnia przerażony lecącym w jego stronę kanistrem, że nie odskakuje w bok. Ze strachu naciska spust.

Kanister uderza go w piersi. Kapral Vörös pada na wznak. Jedną ręką osłania twarz.

We wsi cisza. Nawet psy nie szczekają.

Złodziej leży na brzuchu na ziemi. Ramiona szeroko rozrzucone.

Kapral jest przerażony. Pistolet, drży mu w dłoni. Z wysiłkiem odwraca ciało na wznak.

Na czole Jovana Kissa mały otwór. Dokładnie między oczyma. Jak na tarczy, w samą dziesiątkę. Z otworu sączy się krew.

Kaprala łapią torsje. Nie celował przecież w głowę. W ogóle nie celował. Poklepuje policzki leżącego na betonie mężczyzny.

Głowa Kissa bezwiednie opada na drugą stronę. Głośno stuka o beton. Vörös jest blady. Z powodu czterdziestu litrów benzyny zabił człowieka!

Jovan Kiss patrzy w nicość.

Śmierć mu się ukłoniła.

zł 150,-

lesiojot

ISBN 83-07-01632-0